J. Iwaszkiewicz

LATO W NOHANT

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LATO w NOHANT



CZYTELNIK

CZYTELNIK

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LATO W NOHANT



FRYDERYK CHOPIN
(rys. George Sand)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LATO W NOHANT

KOMEDIA W 3 AKTACH

1 9 4 9
«C Z Y T E L N I K»
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

sygn. Sw1
akc. ...153

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA WARSZAWA

Zbiory Stowarzyszenia I.F.C.
941

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved
Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik", Warszawa
Printend in Poland

Drukarnia Nr 5 Sp. Wyd.-Oświatowa „Czytelnik" w Warszawie. Zamówienie Nr 725
Otrzymano do składu 16.V.1949. Ukończono druk 21.VII.1949. Nakład 7000 + 500 egz.
Nr B-74397.

1.

Marii Przybyłko-Potockiej

OSOBY:

FRYDERYK CHOPIN
BARONOWA AURORA DUDEVANT (George Sand)
MAURYCY, SOLANGE } jej dzieci
ANTONI WODZIŃSKI, przyjaciel Chopina
PANNA DE ROSIERES (Rozjerka) — uczennica Chopina
AUGUSTYNA, kuzynka i wychowanica pani Sand
TEODOR ROUSSEAU, młody malarz
CLESINGER — rzeźbiarz
FERNAND, syn bogatego sąsiada
JAN, służący Chopina
MADELEINE, wiejska dziewczyna

Rzecz dzieje się w posiadłości pani Sand, Nohant, latem w r. 184...

AKT I

(Letnie południe. Salon pani Sand w Nohant. Epoka, kiedy Chopin komponuje sonatę h-moll. Atmosfera jest przepełniona muzyką. Z przyległego pokoju, gdzie mieszka kompozytor, dolatują ustawicznie poszczególne takty tej sonaty, przegrywane i opracowywane. Wszystko — oprócz środkowej części larga. Salon jest skromnie umeblowany, meble Louis XVI. Na środku wielki stół, produkt miejscowego stolarza, służący do gier, zabaw i pracy. Na boku biureczko-szafa, gdzie pani Sand pisuje. Pod jedną ścianą puste miejsce po fortepianie, wyniesionym do pokoju Chopina. Za sceną gwar i ruch jak zwykle latem w domu, gdzie bawi dużo młodzieży. Drzwi w głębi (porte-fenêtre) otwierają się na ogród, gdzie widać wysokie drzewa, lipy, kasztany i kwitnące róże. Pełno tam światła i powietrza. Osoby wchodzą na scenę bądź z ogrodu, bądź z głębi domu. Muzyka trwa prawie przez cały akt).

JAN *(pokazuje Madeleine, która po raz pierwszy przyszła do służby, jak należy okurzać przedmioty zgromadzone w salonie. Madeleine nie jest bardzo pojętna, Jan się irytuje)*: Pa komsa, pa komsa, tylko komsa, komsa! *(z przyległego pokoju Chopina rozlegają się dźwięki fortepianu. Jan kiwa głową i pokazuje na czoło, Madeleine śmieje się głośno)*: Psst... a to co? Jaka śmiała dziewczyna... nie śmiać się... psst...

GEORGE SAND *(wchodzi od ogrodu w stroju do konnej jazdy, zmęczona, ale ożywiona)*: Dzień dobry! *(gładzi Madeleine pod brodę)* Przysłała cię więc stara Urszula? To bardzo dobrze.

Slicznie wyglądasz, moja mała. Cała wasza rodzina jest już taka ładna. Najładniejsza w całym Nohant, może w całym Berry. Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze. Ucz się i słuchaj... *(do Jana)*: Gdzie jest panna Solange?

JAN: Poszła na spacer w pole.

GEORGE SAND: Pan Maurycy?

JAN: W ogrodzie z panną Augustyną.

GEORGE SAND: Aha... A panowie młodzi?

JAN: Pan Rousseau poszedł do parku ze stalugami... pan Clésinger na górze... pan Fernand jeszcze nie przyjechał...

GEORGE SAND: Nie pytam o pana Fernanda... pan Wodziński?

JAN: Pan hrabia wstał przed chwilą. Zdaje się, że kazał siodłać konia...

GEORGE SAND: Znowu gdzieś leci... No dobrze, to może sobie już Jan iść. *(za odchodzącym)* Janie, a bulion dla pana Chopina?

JAN: Zaraz przyniosę, pani baronowo...

GEORGE SAND: Janie, fidybus *(Jan zapala fidybus przy kominku, potem cygaro pani Sand. Jan i Madeleine wychodzą, George Sand zasiada w fotelu, zamyśla się, zapada w rodzaj drzemki)*.

WODZIŃSKI *(wychodzi z pokoju Chopina, chowając do kieszeni portfel)*: O! Pani tak wcześnie?

GEORGE SAND: Dokądże to? Do Châteauroux?

WODZIŃSKI: Do Châteauroux byłoby za daleko w tym stroju. Staję się za ciężki do konnej jazdy.

GEORGE SAND: W tym wieku, mój Boże! A więc do księdza proboszcza na lomberka? I tak od samego rana! Dziwię się tym pańskim przyjemnościom. Spędzać całe godziny z ludźmi tak mało oświeconymi...

WODZIŃSKI: Ależ pani baronowo...

GEORGE SAND: Nie mam nic przeciwko temu. Każdy znajduje przyjemność, gdzie może, i tak jest najlepiej. Dzień zresztą jest prześliczny i mała przejażdżka konna dobrze panu zrobi... Zaczął pan tyć...

WODZIŃSKI: Pani jeździła daleko?

GEORGE SAND: Tak... Musiałam trochę wypocząć po pracy... Pisałam dziś do szóstej, potem trzy godziny konnej jazdy, kąpiel w Indrze. Woda była zimna jak lód. Widzi pan, tak się spędza ranek na wsi, jeżeli się chce naprawdę ujrzeć przyrodę przy pracy. No, a teraz muszę się przebrać i brać do korekty, bo Buloz mi żyć nie daje z tym swoim Przeglądem.

WODZIŃSKI: Podziwiam pani pracowitość.

GEORGE SAND: To cecha prawdziwie francuska. Nie odziedziczyłam jej po królu polskim, moim przodku...

WODZIŃSKI: Który był zresztą Niemcem czystej krwi.

GEORGE SAND: Praca odrywa mnie od rzeczywistości.

WODZIŃSKI: Sądzę, że rzeczywistość pani nie jest taka przykra, żyje pani sobie w wolnym kraju, na wolnej ziemi, otacza panią sława, szacunek, miłość.

GEORGE SAND: Wydaje się, że prawdziwa wolność osiągalna jest jedynie w jakiejś idealnej republice, którą nieprędko ujrzymy na ziemi... To przede wszystkim... A po drugie, nie uwierzy pan, jakie rozczarowanie przynoszą te rzeczy *(z westchnieniem)*. Sława, szacunek, miłość!

WODZIŃSKI: A chociażby ta cudowna posiadłość, ten stary dom, ten park, ta wieś, gdzie każdy zna swoją „dobrą panią z Nohant"...

GEORGE SAND: To prawda, to prawda, *(zamyśla się)* Nohant jest mi zawsze wierne. Broniłam tej posiadłości dwa razy jak lwica. I wiedziałam, dlaczego to robię. Raz pierwszy po śmierci mojej babki, która prawie całe życie tutaj spędziła...

WODZIŃSKI: To ta, co była córką Maurycego Saskiego?...

GEORGE SAND: Tak, to była wielka dama... Po raz drugi przed moim mężem, Nohant było przyczyną naszego rozwodu.

WODZIŃSKI: Czy być może?

GEORGE SAND: Długo cierpiałam jego dziwaczne grubiaństwa. Ale kiedy mi zaczął wycinać drzewa naokoło domu, powiedziałam: basta! To było gorsze od wszystkich długów, których narobił. Fora ze dwora, z m o j e g o dwora. Umówiliśmy się co do renty i pan baron opuścił łaskawie to miejsce, aby zamieszkać co prawda nie bardzo daleko... Chwała Bogu, że jeszcze coś niecoś ocalało z tego parku...

WODZIŃSKI: Coś niecoś? Przecież to jest prześliczne! Te cudne drzewa, te róże, ten trawnik...

GEORGE SAND *(z ożywieniem)*: Prawda? Prawda? A okolica! Przecież te wąwozy, te rozpadliny, te równiny pól. Czy to panu nie przypomina polskich stepów?

WODZIŃSKI: Polskich stepów? Owszem, owszem... tylko, że ja jestem z Poznańskiego. Mamy wyższą kulturę rolną...

GEORGE SAND: Naprawdę? Godzinami można jechać po tych polach. To bardzo pięknie...

WODZIŃSKI: Uważam tylko, że za mało wyzyskane pod względem gospodarczym. Na miejscu pani założyłbym szparagarnię i hodowlę wczesnych jarzyn. Koniecznie... Poza tym...

GEORGE SAND *(urażona)*: A pana gospodarstwo?

WODZIŃSKI: Ja? Moje? O, ja wszystko wydzierżawiam... mam mniej kłopotów, jestem wolniejszy...

GEORGE SAND: Szkoda, że pan u siebie nie założył szparagarni. Moja datuje się z końca zeszłego stulecia... Ale pan jej nie zauważył! *(innym tonem)*: Ach, z tym Janem, to prawdziwe nieszczęście, cóż za okropna kreatura... *(dzwoni i woła przez drzwi)* Janie, Janie, bulion dla pana Chopina! Mówiłam już przecież...

JAN *(za sceną)*: Zuzanna jeszcze nie ugotowała...

GEORGE SAND *(do Wodzińskiego)*: Wszystkiego człowiek musi sam dopilnować...

WODZIŃSKI: Do wszystkich pani kłopotów jeszcze i ten...

GEORGE SAND: Chopin to moje trzecie dziecko. Pan nie wie?

WODZIŃSKI: Wszyscy to wiedzą... Nawet rodzina Chopina jest pełna wdzięczności dla pani.

GEORGE SAND *(z goryczą)*: Tak, rodzina może... Ale ja rzeczywiście mam już ten instynkt macierzyński dla moich przyjaciół, niekoniecznie przez nich oceniony. No, ale trzeba się przebrać. Do widzenia i niech pan nie zapomina o obiedzie. Zuzanna przygotowuje jakiś wspaniały suflet z sera!... *(wychodzi)*.

WODZIŃSKI *(ze współczuciem)*: Biedna Zuzanna... *(chce wyjść, w drzwiach natyka się na Rousseau, który wraca z parku z obrazem rozpiętym na blejtramie)*: Panowie artyści już od rana przy pracy...

ROUSSEAU: Od rana? Ależ teraz jest dobre popołudnie! Mam teraz najlepsze światło nad sadzawką...

WODZIŃSKI: Pan maluje z natury?

ROUSSEAU: Czyż może być lepszy mistrz na świecie?

WODZIŃSKI: Tak, teraz taka moda... Czy pan nie grywa w karty?

ROUSSEAU: Nie, proszę pana...

WODZIŃSKI: Powiedział pan to z lekką pogardą... Niech pan poczeka, gdy będzie pan w moim wieku... To szkoda, potrzebny nam jest ktoś czwarty do wista, bo kiedy się nie znajdzie czwarty, to znowu rozpocznie się hazard...

ROUSSEAU: Najlepiej wcale nie grać.

WODZIŃSKI: To tak, jak gdybym ja poradził, żeby się pan nie kochał w pannie Augustynie...

ROUSSEAU: Co za porównanie. Ona i karty...

WODZIŃSKI: Och, oczywiście, przepraszam pana. Nie ma żadnego porównania. Choć może jest coś wspólnego... I w miłości, i w karty można przegrać... *(wychodzi ze śmiechem, Rousseau ustawia obraz na kominku i przypatruje się mu, wchodzi Clésinger).*

CLESINGER: Nieznośna jest ta bezustanna muzyka, zupełnie nie można pracować. Tobie dobrze siedzieć sobie na plein-airze. A ja mojej gliny na podwórze nie wyniosę.

ROUSSEAU: Jak ci idzie z portretem Solange?

CLESINGER: Dosyć dobrze... W każdym razie nie tak jak z portretem jej matki...

ROUSSEAU: Spodziewam się *(śmieje się).*

CLESINGER: Co za niemądre śmiechy? *(chce go zboksować).*

ROUSSEAU: Idź, idź sobie... z twoimi sierżanckimi manierami.

CLESINGER: Nie mogą mi tego sierżanta zapomnieć. Z tego, że jestem rzeźbiarzem, nikt nie żartuje...

ROUSSEAU: Widocznie jesteś dobrym rzeźbiarzem.

CLESINGER: Chciałbym być... Ale to bardzo trudno...

ROUSSEAU: A malarstwo? To pewnie jest łatwe?

CLESINGER: Nie będę się spierał... Ale pomyśl, jaka różnica w samym koszcie materiału...

ROUSSEAU: No oczywiście. Ale to nie jest najważniejsze.

CLESINGER: Żeby kupić kawałek marmuru, ile to trzeba pieniędzy pożyczyć. Już i tak mam długi...

ROUSSEAU: Ożeń się...

CLESINGER: Po to tu przyjechałem.

ROUSSEAU *(z naiwnym śmiechem)*: Nie gadaj. Pani Sand cię nie zechce.

CLESINGER: Głupi jesteś jak but. Mam dość tej starej. Zimna, psiakrew, jak lód. Myślę o Solange...

ROUSSEAU: Solange? Ty? Przecież ona jak gdyby zaręczona z Fernandem?

CLESINGER: Zaręczona nie zaręczona. Ja mam swój sposób.

ROUSSEAU: Świnia.

CLESINGER: A myślisz, że będę łaził i patrzył na nią jak ty na Augustynę?

ROUSSEAU: I ty chcesz, żeby wszyscy zapomnieli o twojej sierżanckiej szarży? Przecież ty to na każdym kroku przypominasz.

CLESINGER: Sierżant nie sierżant, a Solange będę miał.

ROUSSEAU: Życzę powodzenia.

CLESINGER: Właśnie... A gdzie ona jest? teraz?

ROUSSEAU: Poszła na spacer... w stronę majątku Fernanda.

CLESINGER: Diabli nadali to sąsiedztwo.

ROUSSEAU: Prawda? A pamiętaj, że u kobiet to zawsze kwestia najbliższego sąsiada...

CLESINGER: Ładne perspektywy... Dokąd idziesz?

ROUSSEAU: Zostawiłem stalugi nad stawem. Chodź, pomożesz mi zabrać farby...

CLESINGER: Stalugi czy Augustynę?...

ROUSSEAU: Niestety, Augustyny jeszcze nie widziałem... Zupełnie nie wiem co myśleć w tej całej sprawie. Wszyscy zdaje się, są po mojej stronie... prócz niej samej. Maurycy uważa mnie już za jej narzeczonego.

CLESINGER: Mówił ci co?

ROUSSEAU: Nie, ale miałem takie wrażenie... A ona jest taka dziwna.

CLESINGER: Morał za morał, jeśli tylko masz jakie wątpliwości, to lepiej od razu dać spokój.

ROUSSEAU: Dać spokój, dać spokój... Jak gdyby to tak

od razu można było przestać kochać. Dobrze ci gadać z twoją naturą. Ale ja jestem inny.

CLESINGER: Jesteś delikatną babą... No, chodź po stalugi. Zapakuj je i jedź zaraz do domu. Taka moja rada.

ROUSSEAU. Nie skończyłem jeszcze tego obrazu.

CLESINGER *(przypatruje się)*: Bardzo piękny widoczek... Skończysz go w Paryżu... Westchnienia tęsknoty mają bardzo dobry wpływ na pejzaże.

ROUSSEAU: Filozof z ciebie... no chodź... *(wychodzą).*

(Madeleine wnosi tacę z filiżanką bulionu dla Chopina, Jan jej towarzyszy, przed drzwiami Chopina odbiera tacę i puka, wchodzi następnie do pokoju muzyka i zaraz wychodzi nie zostawiwszy tacki).

JAN *(dając Madeleine tackę)*: Mosie Szopę — Madeleine tużur aporte — tużur Madeleine... szak żur *(wzrusza ramionami, wychodzi do kuchni. Madeleine wchodzi do pokoju Chopina, dopiero teraz muzyka milknie: po chwili Madeleine wraca bez tacki, zostawia drzwi do pokoju Chopina otwarte, wraca do kuchni. Muzyka rozpoczyna się na nowo, tym razem wyraźniej, gdyż drzwi są otwarte. Drzwi od parku także zostawione otwarte, gra świateł wśród zieleni).*

(Maurycy i Augustyna wchodzą przez drzwi od ogrodu).

MAURYCY: Znowu ta muzyka... Nie mogę już słuchać... *(zamyka dość bezceremonialnie drzwi do pokoju Chopina)*: Jeżeli tak dłużej potrwa, moje nerwy nie wytrzymają.

AUGUSTYNA: *(Nie zwraca najmniejszej uwagi na to, co Maurycy mówi i co robi, zajęta swoją myślą, bez przerwy jednak wpatrzona w niego)*: Maurycy... Nic mi nie odpowiadasz na moje pytanie?

MAURYCY: A o co pytałaś?

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA-NARODOWY BIBLIOTEKA
Zbiory Stowarzyszenia P.T.C.

AUGUSTYNA: Jak to? Nie słyszałeś? Nie uważasz już nawet na to, co ja mówię?

MAURYCY: Proszę cię, tylko bez scen...

AUGUSTYNA: Bez scen... I owszem, mogę bez scen...

MAURYCY: Czy zauważyłaś tę nową służącą? Prawda, jaka ładna?

AUGUSTYNA *(bierze Maurycego za rękę)*: Posłuchaj mnie, nie odwracaj rozmowy na inny temat. Powiedz mi od razu i wyraźnie: co ze mną będzie?

MAURYCY: Musisz się poradzić mojej matki. Ja nie wiem.

AUGUSTYNA: Maurycy!

MAURYCY: Ależ tak moja kochana, nie trzeba robić dramatu. Skoro Rousseau tak bardzo ciebie kocha.

AUGUSTYNA: Co mnie obchodzi ten cały Rousseau. To ty go tutaj sprowadziłeś.

MAURYCY: Co za pomysły? Skąd ja mogłem znać tego malarza. To wszystko pomysły mojej matki. Razem ich gdzieś wykopała, jego i Clesingera. Chcesz wyjść za niego za mąż, to dobrze. Nie chcesz, drugie dobrze.

AUGUSTYNA: Maurycy, ale co będzie z nami?

MAURYCY: Co będzie z nami, co będzie z nami. To brzmi niedobrze po francusku. A ty co sobie wyobrażałaś? Nic nigdy nie trwa wiecznie.

AUGUSTYNA: Solange zawsze powiada, że jesteś niedobrym człowiekiem.

MAURYCY: A ona niby to dobra. Co to są zresztą za określenia. Nie jestem romantykiem jak moja mamusia. Zresztą ona także tylko w książkach była romantyczna. Ja nie jestem bohaterem „Lelii". Dobry, dobry... nikt nigdy nie jest dobry...

AUGUSTYNA *(bardzo cichutko, prawie na stronie)*: Obiecałeś mi, że się ze mną ożenisz...

MAURYCY: Obiecałem? Obiecałem. Oczywiście. Jeżeli

chcesz koniecznie, to się z tobą ożenię. Ale po prostu nie radzę ci, abyś wychodziła za mnie za mąż. Co to będzie za małżeństwo? Nie masz prawie grosza, ja niewiele więcej.

AUGUSTYNA: Tak, masz rację, widzę, że nie byłoby to dobrze. Myślałam, że mnie jednak kochasz.

MAURYCY *(z nagłym zapałem)*: Augustynko! Jak to? Wątpisz o mojej miłości? Czyż nie dałem ci tysiącznych dowodów?

AUGUSTYNA *(rozjaśniając się nagle)*: Maurycy... Przecież się nie chcesz ze mną ożenić?

MAURYCY: Jak to nie chcę? Jak to nie chcę? Nie mogę, chcesz powiedzieć. Taka jesteś niemądra. Nie wiesz sama, co znaczy małżeństwo. Małżeństwo, moja droga, to nie są żarty.

AUGUSTYNA: Dla ludzi, którzy się prawdziwie kochają...

MAURYCY: Kochana Augustynko, miłość sama nie wystarczy. Zresztą sama wiesz. Mama za nic by się nie zgodziła na nasze małżeństwo.

AUGUSTYNA *(z dreszczem lekkiej trwogi)*: Mama! A jednak był czas, kiedy myślałam, że życzy sobie tego.

MAURYCY: Łudziłaś się zapewne. Zresztą mama była zawsze tak dobra dla ciebie.

AUGUSTYNA: Taaak. Przez pewien czas. Ale teraz bardzo się zmieniła.

MAURYCY: Tak ci się tylko wydaje. I jeżeli chodzi o pana Rousseau, powinnaś się jej zwierzyć. Ona ci najlepiej i najżyczliwiej poradzi.

AUGUSTYNA *(we łzach)*: Maurycy, Maurycy, taka jestem nieszczęśliwa. Ty mnie porzucasz.

MAURYCY *(obejmuje ją)*: Ale cóż znowu, moja droga, najmilsza, chciałbym tylko twojego szczęścia.

AUGUSTYNA *(zarzuca mu ręce na ramiona)*: Ach, mój miły, mój bardzo miły.

MAURYCY: Nie rozpaczaj, nie płacz. Wyjdziesz za mąż, za pana Rousseau *(całują się)*.

ROUSSEAU *(wchodzi z ogrodu ze stalugami złożonymi w ręku i słyszy ostatnie słowa)*: Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

MAURYCY: Ależ nie.

ROUSSEAU: Panno Augustyno, pani mnie zwodziła.

AUGUSTYNA: Przepraszam pana. Zresztą nie mówiłam panu nigdy nic pewnego.

ROUSSEAU: A pani kuzynek niecnie postępuje sobie z panią. Przestrzegam panią przed nim, jako szczerze kochający człowiek.

MAURYCY: Wypraszam sobie podobne odezwanie się.

ROUSSEAU: Uwiódł pan tę dziewczynę, a teraz pan chce ją wydać za mąż... *(Pani Sand wchodzi niepostrzeżenie)*.

MAURYCY: Panie Rousseau, pan się zapomina.

ROUSSEAU *(kończy)*: ...do spółki ze swoją mamusią.

MAURYCY: Nie potrzebuje pan tego powtarzać dwa razy *(policzkuje go)*.

GEORGE SAND: Maurycy, to nasz gość! *(policzkuje Maurycego)*.

ROUSSEAU: A to ładna rodzinka *(z całym spokojem zdejmuje obraz z kominka i wychodzi)*.

GEORGE SAND: Maurycy, w tej chwili idź do pana Rousseau i przeproś go za to, coś uczynił. Ująłeś się wprawdzie o mój honor, ale naprawdę to była przesada. No, idź... *(Maurycy całuje matkę w rękę i wychodzi)*.

AUGUSTYNA: Biedny Rousseau.

GEORGE SAND: Zdawało się, że trzech nie zliczy, a takich rzeczy tu nagadał.

AUGUSTYNA: Uniósł się. Maurycy niepotrzebnie tak rycersko stanął w obronie mojej czci. Tego małego malarza nie należy traktować aż tak poważnie.

GEORGE SAND: Wolałabym jednak, abyś go traktowała bardziej poważnie. Dlaczego nie chciałaś wysłuchać jego prośby?

AUGUSTYNA: Nie kocham go.

GEORGE SAND: Doskonale, moje dziecko. Przez sześć lat byłaś moją wychowanką, moim trzecim dzieckiem. Znam dobrze twój charakter, jednak mam wrażenie, że drugiego takiego konkurenta do twojej ręki tak prędko nie znajdziesz.

AUGUSTYNA: Nie śpieszy mi się z zamążpójściem.

GEORGE SAND: To także rozumiem, znam twoją niezależność i zawsze starałam się ją jeszcze rozwinąć. Zdaje mi się jednak, że tobie chodzi o co innego. Myślę, że chcesz wyjść za mąż za Maurycego.

AUGUSTYNA *(zuchwale)*: Tak, nie ukrywam tego.

GEORGE SAND: Rozumiem cię aż nadto dobrze, moja droga. Zapewne i ty zechcesz mnie zrozumieć, jeżeli powiem ci, że nigdy nie dopuszczę do tego małżeństwa.

AUGUSTYNA: Więc ciocia patrzyła życzliwym okiem na nasze flirty, a kiedy dochodzi do małżeństwa, to basta, prr.

GEORGE SAND: Miłość a małżeństwo, Augustyno, to wielka różnica.

AUGUSTYNA: Nie rozumiem tego.

GEORGE SAND: Zrozumiesz to kiedyś. Maurycy potrzebuje zupełnie innej żony.

AUGUSTYNA: Przede wszystkim bogatej.

GEORGE SAND: Być może, że i o tym myślałam.

AUGUSTYNA: Jest to romantyczność osobliwego gatunku.

GEORGE SAND: Romantyzm jest dobry w książkach, czasem w życiu, ale nie jako zasada. Zresztą znasz Maurycego równie dobrze jak i ja. Sama wiesz, jak mało jest w nim romantyzmu. Jest pozbawiony poezji. Nie powiem uczuć, gdyż ma dla mnie zawsze wiele serca.

AUGUSTYNA: Łudzi się ciocia co do tego serca.

GEORGE SAND: O, o tym nikt postronny nic nie może wiedzieć. Kocha mnie bardzo.

AUGUSTYNA: Skłonni jesteśmy zawsze widzieć w drugich to uczucie, które sami w sercu nosimy.

GEORGE SAND: Boże, co za filozofia. Moja Augustynko, tylko nie przybieraj tych póz uczonych, bardzo ci z tym nie do twarzy.

AUGUSTYNA: Ciocia w ten sposób widzi w Maurycym same zalety.

GEORGE SAND: Nie, nie, nie same zalety...

AUGUSTYNA: Wydaje się cioci, że jest genialnym malarzem.

GEORGE SAND: Zapewne pan Rousseau ci powiedział, że nie ma żadnego talentu. Pozwól mi nie wierzyć w to zdanie.

AUGUSTYNA: Przeżyje jeszcze ciocia niejedno rozczarowanie.

GEORGE SAND: Jedno mniej, jedno więcej, czy to nie wszystko jedno? Tylko teraz ta cała przygoda z panem Rousseau bardzo mi się nie podoba. Trzeba za wszelką cenę zachęcić Rousseau do pozostania w Nohant i do wybaczenia Maurycemu jego głupiego figla. To jeszcze dzieciak prawdziwy, nie wie, co czyni. Obawiam się, że jeżeli się w to nie wdasz, Augustyno, będziemy mieli pojedynek.

AUGUSTYNA: Pojedynek? Mój Boże!

GEORGE SAND: Od ciebie teraz wszystko zależy.

AUGUSTYNA: Co mam robić?

GEORGE SAND: Odszukaj małego malarza i poproś go, aby został w Nohant. Bądź dla niego uprzejma. A przede wszystkim wytłumacz mu, że Maurycy jest tak dziecinny i po dziecinne-

mu porywczy, że właściwie mówiąc nie powinien odpowiadać za swoje czyny. Zresztą serce podyktuje ci, co masz powiedzieć.

AUGUSTYNA: Ach, ciociu, to doprawdy jest przerażające... *(wybiega).*

(George Sand, kiedy pozostała sama, zapomina natychmiast o wszystkich gwałtownych przeżyciach, bierze się do swoich korekt jak do narkotyku. Siada przy biurku, przerzuca papiery i zaraz zabiera się do roboty. Spogląda na godzinę, bierze pióro do ręki i na długich paskach korekty pilnie coś znaczy. Z pokoju Chopina dobiega starannie wykuwany jakiś pasaż. Zegar bije. Chwilę trwa cisza. Wreszcie George Sand porzuca korektę, zamyśla się z głową opartą na ręku).

ROZJERKA *(wchodzi szybko, rozglądając się dokoła, jest ubrana pretensjonalnie i szeleści jedwabiem)*: Dzień dobry. Czy nie widziałaś gdzie Antosia?

GEORGE SAND: Owszem, widziałam. Przed godziną wymknął się do księdza na karty.

ROZJERKA *(opada na kanapę)*: Pojechał do księdza na karty. A cóż to za szelma. I to w największej tajemnicy przede mną. Czy pożyczyłaś mu pieniędzy?

GEORGE SAND: Nie mam pieniędzy do wyrzucenia. Zdaje się, że pożyczył od Chopina.

ROZJERKA: Od Chopina. Niemożliwe.

GEORGE SAND: Dlaczego?

ROZJERKA: Chopin siedzi bez grosza. Już dawno Fontana nic nie wyciągnął od wydawców.

GEORGE SAND: Biedny Fontana. Nie zazdroszczę mu tych ciągłych poleceń Chopina i ciągłej bieganiny w jego sprawach. A co do Chopina, to może być bez grosza, a dla rodaka zawsze coś się gdzieś znajdzie.

ROZJERKA: Osobliwy patriotyzm.

GEORGE SAND: Rzeczywiście. Najmądrzejszy Francuz go nudzi. A dla swoich zawsze ma czas i uśmiech, i dobry humor, nawet gdyby to był jakiś najsurowszy barbarzyńca, czy nawet ta poczciwa Laura Czosnowska, która nas tutaj tak zanudzała.

ROZJERKA: Biedak Maurycy dał jej to do zrozumienia.

GEORGE SAND: A ona nie miała nic lepszego do roboty, tylko poskarżyła się Chopinowi. Nie masz pojęcia, jaką miałam o to awanturę.

ROZJERKA: Awanturę?

GEORGE SAND: Awanturę — oczywiście, taką bez słów, jak to on potrafi, z tym parszywym arystokratycznym chłodem. Wolałabym, żeby mi garnki tłukł na głowie.

ROZJERKA *(ze śmiechem)*: Widzę Chopina miotającego garnki. Ale coś ty taka dzisiaj rozdrażniona?

GEORGE SAND: Jestem tylko zmęczona. Nie mogę dorwać się do mojej roboty, a tu trzeba na gwałt pisać, robić korekty, słowem, jakiś zapas materiału na jesień. „Revue des Deux Mondes" się sroży, tutaj też zaczynam mieć długi. Nie uwierzysz, ile kosztuje ten wielki tryb życia.

ROZJERKA: Rzeczywiście, wyobrażam sobie, gości dom pełen, jeszcze i goście naszych gości...

GEORGE SAND: Ach, Chopin nie jest moim gościem. Od dziewięciu lat zdążyłam się przyzwyczaić do niego i do jego manier. Nawet do tej muzyki, *(wskazuje na drzwi)* a to przecież jest nie do zniesienia. Słyszysz, jak on powtarza po piętnaście razy każdy takt? I co ja mam z tego wszystkiego?

ROZJERKA: Niepokoisz mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam cię w stanie takiego rozdrażnienia.

GEORGE SAND: Bo myślę, że jeszcze nigdy się tak źle nie czułam. Wiesz, co się stało przed chwilą? Maurycy spoliczkował Rousseau'a.

ROZJERKA: Jezus Maria! Dlaczego?

GEORGE SAND *(z pewną dumą)*: Stanął w mojej obronie.

ROZJERKA: Nie chcesz we mnie wmówić, że Rousseau czyhał na ciebie.

GEORGE SAND: Ten smarkacz? Obraził mnie słowami!

ROZJERKA: Cóż teraz? Pojedynek pewny.

GEORGE SAND: Wychowałam mego syna w pogardzie do tego rodzaju załatwiania sporów. Zresztą Augustyna do tego nie dopuści. Ale to pewne, że teraz nie ożeni się z Augustyną.

ROZJERKA: O, mój Boże, a cóż ty z nią poczniesz? Przecież nie wydasz jej za Maurycego. Widzisz, do czego cię doprowadzają te twoje osławione macierzyńskie instynkty. Po co ci było brać to dziecko na wychowanie?

GEORGE SAND: Wszystkie moje biedy z tego pochodzą, że traktuję tych ludzi jak moje prawdziwe dzieci. Ale Maurycy się z nią nie ożeni. Znasz go dobrze. Rozumiesz, sama mi nieraz to mówiłaś, że jest on niezwykłym człowiekiem. W obecnej koniunkturze łatwo się może zmarnować, ale przy zmianie ustroju może zostać od razu wybitnym politykiem. Teraz musi się zadowalać malarstwem.

ROZJERKA *(pochlebia)*: Znakomitym malarstwem.

GEORGE SAND *(z fałszywą skromnością)*: Ach, to dopiero początki, które nie znalazły łaski ani w oczach Rousseau, ani Augustyny. Chopin też się na to krzywi.

ROZJERKA: Zapominasz, że Chopin krzywi się nawet na malarstwo Delacroix.

GEORGE SAND: Wymagając natomiast uwielbienia dla siebie. Więc, moja droga, jakże ja mogę Maurycemu świat zawiązać tą Augustyną? To nawet dobra dziewczyna, ale głupia jak gęś.

ROZJERKA: Tak sądzisz, moja droga? Oczywiście, tak, to jest głupia gęś, nie można jej wydać za Maurycego.

GEORGE SAND: Maurycy ma względem niej pewne zobowiązania, ale to głupstwo. Maurycy nie może się żenić z kimś,

kto nie ma majątku. Musi dostać spory posag. Naprawdę, nie uśmiechaj się. Ale przecież oni po mnie, a tym bardziej po ojcu nic albo prawie nic, nie dostaną.

ROZJERKA: Solange uchodzi za posażną pannę.

GEORGE SAND: Chyba nie w oczach Fernanda. Ale taki człowiek jak Maurycy nie może mieć byle jakiego życia. Musi mieć na wszystko...

ROZJERKA: Tak, tak, musi mieć na wszystko... Na życie, na pałac, na karty, na kobiety...

GEORGE SAND: Na kobiety?

ROZJERKA: No wiesz, trudno mężczyznom odmawiać...

GEORGE SAND *(ze śmiechem)*: Ach, wiesz, jaką mam zabawną sprawę — Chopin prosił mnie o przyjęcie tej małej Madeleine do służby w pokojach. Wiesz, tej ładnej, co to... no, i przyszła dziś po raz pierwszy...

ROZJERKA: Podziwiam cię, George. Jak ty możesz być taka niezazdrosna?

GEORGE SAND: Ach, gdybyś ty wszystko wiedziała. Zresztą nigdy nie byłam zazdrosna. Z chwilą, kiedy miałam powód do zazdrości... to mnie już nie było.

ROZJERKA: Dziwię się Chopinowi. Taki człowiek.

GEORGE SAND: Nie egzaltuj się. Antoś będzie się gniewał.

ROZJERKA: Antoś wie, jaki jest mój stosunek do Chopina. Zresztą to zupełnie co innego. Antoś, to zwyczajna ludzka historia. A Chopin to przecież nie człowiek — to geniusz!

GEORGE SAND *(ze śmiechem)*: Mimo geniuszu, to człowiek, tylko człowiek, moja kochana. To tylko po paryskich salonach przypisują mu jakieś nadludzkie zdolności i opowiadają sobie legendy. Czyż może być coś bardziej ludzkiego niż ta prośba o przyjęcie Madeleine? Przecież on wie doskonale, że ja nie łudzę się wcale i zdaję sobie sprawę, o co tu chodzi. On tymczasem udaje, że mu chodzi tylko o pomoc rodzinie biednej

Urszuli. Nie byłabym właścicielką Nohant, gdybym nie wiedziała dokładnie, co się w mojej wsi dzieje.

ROZJERKA: Tak. Ale mimo wszystko, jest to niezwykły człowiek. Zawsze mam takie wrażenie, że całe Nohant jest przepełnione jego atmosferą.

GEORGE SAND *(z goryczą)*: Możliwe. Używa tak ostrych zapachów. Nie znoszę tego polewania się lawendą. Jak lala światowa, przepełniony jest zawsze wonnościami...

ROZJERKA *(połapała się)*: Moja droga, to nie od perfum zależy. Ty się nie perfumujesz — raczej pachniesz cygarem — a jednak u ciebie jest tej atmosfery jeszcze więcej.

GEORGE SAND *(łatwo się pociesza)*: Przypuszczam, że tak jest w istocie. Nie wiem tylko, czy ty to odczuwasz. Bo widzisz, mnie się wydaje, że twórczość literacka jest bardziej uduchowiona od muzycznej. My pisarze mamy więcej do czynienia z myślą. Jesteśmy przy tym bliżej przyrody, która jest niewyczerpalnym źródłem ducha. Pomiędzy nami trafiają się tacy ludzie, jak jego rodak Mickiewicz. Ludzie natchnienia, prorocy i wodzowie narodu, podczas kiedy muzycy... *(zawahała się z odcieniem lekkiej ironii)*.

ROZJERKA *(pokrywając wielkie zdziwienie)*: Tak, tak, oczywiście, masz rację. Ale naokoło Chopina odczuwa się także jakąś duchową atmosferę jak naokoło ciebie czy Mickiewicza, czy innego natchnionego pisarza...

GEORGE SAND: Oni mają ułatwione zadanie. Przemawiają językiem zrozumiałym dla wszystkich narodów, dla tłumów nawet. Są oceniani od razu, na gorąco, tym można tłumaczyć wszystkie sławy muzyczne, jak Liszt, jak Chopin. Podczas gdy nas ocenia dopiero potomność.

ROZJERKA *(szczerze)*: No, ty już na brak sławy nie możesz narzekać. Jesteś najsławniejszym w tej chwili pisarzem na obu półkulach. I co za triumf dla ciebie, dla kobiety — ta sława.

GEORGE SAND *(z niejasnym uśmiechem)*: Tak, ale to nie to, to nie to... *(słychać wyraźniej muzykę Chopina)*.

ROZJERKA: A czy tobie się zdaje, że to, co obecnie jest cenione w Chopinie, jest istotną częścią jego geniuszu? Czy myślisz, że właśnie ta publiczność, do której on, jak mówisz, przemawia, ceni w nim to, co jest powierzchowne, przemijające? Nawet my, muzycy, nie doceniamy albo i nie rozumiemy w nich tego, co może jest najważniejsze...

GEORGE SAND: Mam chwilami wrażenie, że to wszystko, co otrzymują oni, muzycy, a może tylko Chopin, jest czymś bezwiednie niezasłużonym; że to przychodzi im zbyt łatwo, że po prostu śpiewają jak Ariele. Że obca im jest męka twórczości.

ROZJERKA: A ty czy nie piszesz arkusz za arkuszem bez przerwy, bez poprawki? A on, czyż nie męczy się? Słyszysz, jak pracuje teraz nad sonatą — czyż to nie jest męka?

GEORGE SAND: Bo nam się zdaje, że proces twórczości pisarza to siedzenie przy biurku i machanie piórem. Przyznaję, to przychodzi mi z łatwością. Mam nawet niejakie zamiłowanie do stawiania tych czarnych liter na białym papierze. Ależ to jest rezultat wielkiej pracy. Męczących wahań. Dziś rano przez trzy godziny jeździłam konno, hasałam, kąpałam się, wypoczywałam. Ale przez te trzy godziny nie rozstawałam się z obrazem księcia Karola.

ROZJERKA: Któż to jest?

GEORGE SAND: To bohater mojej najnowszej powieści. Powieść nazywa się „Lucrezia Floriani". Przetransponowałam tam mój stosunek do Chopina.

ROZJERKA: Naprawdę? Ach, to bardzo ciekawe!

GEORGE SAND: Oczywiście tylko tak jak to można w powieści. Chopin nazywa się w niej księciem Karolem...

ROZJERKA: Nie boisz się, że ci ten romans zaszkodzi?

GEORGE SAND *(wzrusza ramionami)*: Cóż robić? Czasami

nasza miłość istnieje tylko po to, aby się stać pretekstem do dzieła sztuki...

ROZJERKA: Powiedz mi, moja droga... dawno chciałam ci zadać to niedyskretne pytanie: czy ty kochasz jeszcze Chopina?

GEORGE SAND: Ja?... Chopina?... Powinnaś przede wszystkim zapytać, co to znaczy miłość? Jaka miłość? Tyle jest jej rodzajów...

ROZJERKA: O, ja rozumiem tak zwyczajnie. Tak jak ja Antosia.

GEORGE SAND *(w zamyśleniu)*: Tak jak ty Antosia... Być może, że tak ja nigdy nie kochałam. Szukałam zawsze czegoś największego i ostatecznego, i nigdy nie znajdowałam. Za każdym razem doznawałam gorzkich rozczarowań. Jest we mnie jakaś mieszanina męskiego poszukiwania i macierzyńskiej czułości. Jak Don Juan w spódnicy, nawet nie w spódnicy — bo znasz przecie moje zamiłowanie do męskiego stroju — szukam i co chwila wydaje mi się, że znalazłam ostateczny ideał. A potem, gdy się we mnie ten Don Juan rozczaruje, zamiast porzucić moją ofiarę — zaczynam ją pielęgnować — jak matka. No, i z tego składa się całe moje życie. Może trochę inaczej było z Mussetem... Ale z Chopinem...

ROZJERKA *(po pauzie)*: Co z Chopinem?

GEORGE SAND: Naturalnie, była to wielka namiętność. W momencie, gdy u pani Marliani podawałam mu poprzez błyszczący mur fortepianu kartkę z napisem „On vous adore", oczywiście, kochałam go... Ale to przecież już osiem czy dziesięć lat temu. Przyszły potem różne inne rzeczy, podróż na Majorkę, gdzie histeryzował i umierał naprawdę, gdzie był prawie trupem. Takich prób nie przetrzyma romantyczna miłość.

ROZJERKA: Biedaczka!

GEORGE SAND: Ja miałam inne pojęcie o miłości. Mówią o mnie, że za dużo kochałam. Proboszcz tutejszy traktuje mnie z zabobonną trwogą, jak największą grzesznicę. Ale ja każdą

moją miłość uważałam i dziś jeszcze uważam za największą prawdę. Za dar największy życia, które jest tutaj bardzo piękne... a tam? Nie wiadomo, jakie będzie. W pięknie mojego życia ten chory człowiek nie mieścił się, niestety. Pozostał mi jak drugi syn — i przyznam się, mam z nim znacznie więcej kłopotu niż z Maurycym.

ROZJERKA: Właśnie o tym myślałam. Masz ciężkie zadanie.

GEORGE SAND: I w pewnym znaczeniu muszę powiedzieć, że go kocham. Tyle lat wspólnego życia, tutaj, w Paryżu. I zawsze ten sam chłód, ta sama dyskrecja z jego strony. Zawsze ta wyniosła obojętność, za którą kryje się jak za tarczą...

ROZJERKA: Co ci jest, George? Płaczesz?

GEORGE SAND: Nie wiem, co mi jest... Pewnie będzie burza. Czasami czuję się tak słaba. Mam tyle do zrobienia i tyle do przezwyciężenia, a wydaje mi się teraz, że wszystko na próżno... dzieci...

ROZJERKA: Pociesz się, że są to chwile upadku genialnych ludzi. Potem strumień twojej twórczości popłynie szerzej, gładziej.

GEORGE SAND: Geniusz i macierzyństwo — to za duże dwa ciężary jak na moje barki.

SOLANGE *(wpada od ogrodu — jest w kapeluszu, widać, że wraca z przechadzki)*: Ach, Boże... ten Fernand zawsze się znajdzie na mojej drodze. Powiedziałam mu, żeby na mnie zaczekał w wąwozie, a sama uciekłam przez wieś. Byłam u starej Urszuli *(patrzy znacząco na matkę)*: Rozmawiałam z Urszulą... *(pani Sand nie rozumie tego wzroku)*.

ROZJERKA: Męczysz swoich kawalerów, Solange.

GEORGE SAND: Myślę, rzeczywiście, że nie powinnaś tak dokuczać Fernandowi...

FERNAND *(wpada od ogrodu)*: Wcale mnie pani nie oszukała. Nie czekałem na panią w wąwozie, tylko poszedłem wprost

przez pola do Nohant *(wita się z panią Sand i z Rozjerką)*: Widziałem cały czas z daleka pani kapelusz!

SOLANGE: Śledzi mnie pan, co za bezczelność!

GEORGE SAND: Solange!

SOLANGE: No, moja mamusiu, jakże to nazwać inaczej! Czyż to nie jest zupełnie nieprawdopodobne postępowanie. Iść za kimś cały czas i śledzić go z ukrycia. A jeżelibym ja miała schadzkę z kimś innym? I wpada teraz tutaj właśnie, kiedy chciałam powiedzieć o nim najgorsze rzeczy, najrozmaitsze najgorsze rzeczy. Myśli pan, że to nieprawda, niech pan się spyta panny Rosières, co ja zawsze o panu mówię?

GEORGE SAND: Cieszę się, że cię widzę Fernandzie, dawno nas nie odwiedzałeś? Jak zdrowie ojca?

FERNAND: Dziękuję... *(patrzy na Solange)*: Panna Solange nie daje mi powodów do bywania w Nohant: jest taka niezadowolona, ilekroć się zjawię.

ROZJERKA: Młoda, młoda.

FERNAND: Ach, pani, jaka ona jest zachwycająca...

ROZJERKA: Niech się pan jej nie narzuca. Radzę panu szczerze. Mam wrażenie, że to może panu zaszkodzić *(rozmawiają poufnie, przez ten czas Solange odprowadziła matkę na bok i mówi gwałtownym szeptem)*.

SOLANGE: Mamusiu, mamusiu, wiesz, co mi powiedziała Urszula? Mówiła mi, że ta nowa służąca, Madeleine, jest kochanką Chopina!

GEORGE SAND: Uspokój się, mów ciszej...

SOLANGE: Musisz ją natychmiast stąd usunąć. Natychmiast, słyszysz, natychmiast. Jeżeli tego nie zrobisz, to ja... to ja... wyjeżdżam z domu.

GEORGE SAND: Solange...

ROZJERKA *(do Fernanda)*: Czy widział pan już nowe róże? Kwitną pierwszy raz w tym roku. To te, które ojciec pana przy-

słał pani baronowej zeszłej jesieni. Zobaczy pan je i powie ojcu, jak wyglądały... *(wychodzą do ogrodu, widać, jak spacerują w głębi. Po chwili przyłącza się do nich Clésinger, potem Augustyna)*.

GEORGE SAND: Zachowujesz się skandalicznie. Patrz, Rozjerka musiała wyprowadzić stąd Fernanda pod jakimś głupim pretekstem. Dlaczego się tak zachowujesz? Uważam Fernanda prawie za twego narzeczonego.

SOLANGE: Mnie jest wszystko jedno, za co mamusia jego uważa. Może mamusia uważać go nawet za mojego kochanka. Stary rak nie może się gniewać na młodego, że ten chodzi tylem... jedno tylko jest pewne, że mamusia natychmiast oddali tę służącą. Nie chcę i nie potrzebuję tego, aby mieszkać pod jednym dachem z kochanką Chopina.

GEORGE SAND: Solange...

SOLANGE: Chciałam powiedzieć: z t a k ą kochanką Chopina. I w ogóle nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć. Jak ty sama zgadzasz się na coś podobnego? Cóż znaczy ta gminna rywalka?

GEORGE SAND: Solange, jesteś głupia i zuchwała dziewczyna, wyrażasz się językiem markietanki.

SOLANGE: Odziedziczyłam to po mojej babce...

GEORGE SAND: Wara ci od mojej matki. Nic nie wiesz o tej sprawie.

SOLANGE: Nie zmienia to twojego stosunku do Chopina...

GEORGE SAND *(w uniesieniu)*: Nic z tego nie rozumiesz. Nie jestem kochanką Chopina...

SOLANGE: Naprawdę? *(nagle bardzo wesoło)*: Naprawdę, mamusiu, naprawdę? Nie, nie, nie... To niemożliwe... *(bierze matkę za ręce i okręca ją jak frygę)*: Mama, mamusia nie jest kochanką Chopina, mama, mamusia, nie jest o niego zazdrosną...

GEORGE SAND: Co ty wyprawiasz, dajże spokój natych-

miast. Ciszej, na Boga, ciszej, czy nie rozumiesz, że powierzyłam ci tajemnicę.

SOLANGE: Boże drogi, co za czasy. Dawniej byłoby tajemnicą, że mama jest czyjąś kochanką...

GEORGE SAND: Bezwstydne dziecko. Skądżeś ty się taka wzięła?!

SOLANGE: Całe pokolenia się na mnie składały. Nie wiesz? Może ci wyliczyć?

GEORGE SAND: Milcz!

SOLANGE *(opada na kanapę)*: Ale naprawdę nic z tego nie rozumiem.

GEORGE SAND: Kiedyś ci to wytłumaczę.

SOLANGE: Zaraz, zaraz, niech mi mama powie zaraz. Bo ja nic nie mogę zrozumieć.

GEORGE SAND: Widzisz, że teraz nie pora. Dom pełen gości, młodzież się kręci koło ciebie...

SOLANGE: Sama nie wiem co robić z tym Fernandem. Ja go naprawdę nie chcę, mamusiu. Wolałabym już Clésingera.

GEORGE SAND: Co ty pleciesz?

WODZIŃSKI *(wchodzi na palcach)*: Psssst...

GEORGE SAND: Już wrócił pan od księdza?

WODZIŃSKI: Ale mam zamiar tam powrócić.

SOLANGE: Zgrał się pan!

WODZIŃSKI: Pani baronowo, niech mnie pani poratuje.

GEORGE SAND: Ani mi się śni, zostanie pan w domu.

WODZIŃSKI: Panno Solange, niech się pani za mną wstawi do mamusi.

SOLANGE: Ani myślę. Znajdę na pana sposób *(woła przez drzwi)*: Panno Rosières, panno Rosières, prędko, prędko, niech pani idzie, Antoś wrócił...

ROZJERKA *(wpada)*: Gdzie? Gdzie?

GEORGE SAND: Tu, tu jest grzesznik, niech pani patrzy, jak się chowa.

WODZIŃSKI *(chowa się za fotel i pragnie uciec)*: Nie ma mnie, nie ma mnie... *(Rozjerka goni go, Wodziński ucieka do ogrodu, Rozjerka za nim, bieganina po ogrodzie, wreszcie Fernand i Clésinger wprowadzają Wodzińskiego za ręce, Rozjerka krzyczy za nimi).*

ROZJERKA *(udaje, że trąbi)*: Hallali, hallali — jest zbieg, jest jeleń, pojmany, pojmany.

WODZIŃSKI: Kiedy ja naprawdę obiecałem moim przyjaciołom powrócić do nich natychmiast jak tylko...

SOLANGE: Jak tylko pan dostanie pieniędzy. Ale ponieważ pan pieniędzy nie dostał i nie dostanie — musi pan siedzieć w Nohant.

GEORGE SAND: Tyle tutaj jest teraz młodzieży, a pan, panie Wodziński, ucieka wciąż do tych starych reakcjonistów. I co panu z tego przyjdzie? *(Augustyna i Rousseau wchodzą do ogrodu, pani Sand rzuca zaniepokojone spojrzenia Augustynie, ta odpowiada uspokajającym gestem głowy)*: Cóż, nie maluje pan więcej, panie Rousseau?

ROUSSEAU: Owszem, zacząłem pejzaż, który mi się wydawał taki łagodny. Tymczasem, zdaje mi się, zbiera się na burzę.

CLESINGER: Tak, lato burzliwe w tym roku...

MAURYCY: Ale któż myśli o burzy? *podaje rękę Rousseau)*: Pogoda taka prześliczna. Właśnie chcieliśmy pana prosić, aby nam pan pokazał swoje szkice z Nohant dzisiaj po obiedzie. Dobrze?

ROUSSEAU: Niestety, zacząłem je już pakować.

GEORGE SAND *(bardzo władczo)*: Pan jeszcze chyba nie odjeżdża, panie Rousseau?

CLESINGER: Nie ufaj za bardzo tej pogodzie, Teodorze.

FERNAND *(bacznie mu się przypatruje)*: Tak pan myśli, panie Clésinger? *(za sceną gwałtowne bicie w gong).*

GEORGE SAND *(podskakuje na siedzeniu)*: Ach, ten Jan... Ileż razy trzeba go uczyć... *(Jan wchodzi z gongiem)*: Janie, ile razy mówiłam Janowi, że nie należy tak długo dzwonić. Naprawdę można ogłuchnąć. *(Jan dzwoni w dalszym ciągu)*.

MAURYCY: Czy Jan nie słyszał, co pani mówi? Proszę tak nie dzwonić!

JAN: A bo obiad stoi i stoi, a nikt nie przychodzi...

MAURYCY: I nikt nie przyjdzie, jeżeli nie będzie miał ochoty *(grubiańsko wypycha Jana za drzwi)*.

GEORGE SAND: Ja wcale nie mam jeszcze apetytu. Prawda, Maurycy, że jeszcze nie ma pierwszej?

MAURYCY: Oczywiście, że nie ma. Ci Polacy pojęcia nie mają o godzinach. I po co on dzwonił?

CLESINGER: Mam wrażenie, że właśnie uderzyła pierwsza na kościele. Nie słyszałeś, Rousseau?

ROUSSEAU: U mnie już jest dwanaście po pierwszej.

MAURYCY: A u mnie dopiero pół do pierwszej... Jeżeli kto nie wierzy, niech sprawdzi... a zresztą...

ROZJERKA: Ależ oczywiście nikomu się jeść nie chce.

MAURYCY: Nie ma jeszcze pierwszej, bo Chopin się nie zjawił. Nie macie państwo pojęcia, co to za punktualność, jeżeli chodzi o jedzenie. Musiał się w dzieciństwie wygłodzić w tej Polsce, że teraz ma taki apetyt.

SOLANGE: Maurycy!

GEORGE SAND: Nie kłóćcie się dzieci. Jeszcze nam zostaje pół godziny czasu do obiadu. Po obiedzie zabawimy się w szarady. Teraz obmyślimy, co będziemy przedstawiali.

AUGUSTYNA: Ja proponuję „kolej żelazną".

CLESINGER: Tak, ale jak to wyobrazić?

FERNAND: Nie, co innego, „winobranie", doskonałe słowo do szarad...

SOLANGE: A ja proponuję „wzorowa rodzina".

ROZJERKA: Niech każdy napisze swój projekt na papierze i będziemy losowali.

SOLANGE: Doskonale, doskonale. Mamusiu, daj nam papieru... *(bierze papier z biurka matki, rozsypując korektę i rękopisy, drze kawałki i rozdaje obecnym)*.

GEORGE SAND: Mam nadzieję, że to nie „Lucrezia Floriani".

SOLANGE: Nie, nie. Znaleźliśmy wreszcie dobry użytek dla twego papieru...

(Wszyscy biorą kartki i ołówki, i na chwilę towarzystwo, tak skłócone i tak różnorodne, pogrążone w tylu namiętnościach, pochyla się nad stolikami, pisząc tematy do szarad).

SOLANGE: Ale gdzie jest Chopin? Nie wyobrażam sobie szarad bez niego.

GEORGE SAND: Daj mu spokój, Solange, on pracuje.

SOLANGE: Ale nie ma teraz pracy, kiedy są szarady. Musi nam akompaniować *(otwiera drzwi do przyległego pokoju, gdzie muzyka już dawno umilkła)*: Chopin, Chopin, chodź prędko, gramy w szarady, w szarady! *(czeka przez chwilę, potem wraca na środek salonu)*: Zaraz przyjdzie. Teraz dopiero będzie wesoło.

JAN *(wsadza głowę przez drzwi, szeptem do pani Sand)*: Proszę pani, proszę pani. Bo to jest suflet!

GEORGE SAND: Boże drogi, na śmierć zapomniałam. Dzieci, dzieci, prędzej do stołu, mamy dzisiaj suflet z sera!

WODZIŃSKI: Mój Boże, tam już pewnie po suflecie! *(wszyscy wychodzą śpiesznie i ze śmiechem)*.

FERNAND *(zatrzymuje Solange na chwilę)*: Panno Solange, niech mi pani koniecznie wyznaczy chwilę rozmowy.

SOLANGE *(patrząc niecierpliwie i z niepokojem na drzwi Chopina)*: Ach, pan jest niepoprawny...

FERNAND: Ja błagam, panno Solange.
SOLANGE: No, dobrze już, dobrze.
GEORGE SAND: Zostaniesz z nami na obiedzie, Fernandzie?

(Fernand kłania się w milczeniu. George Sand zapędza wszystkich do jadalni, zostaje na chwilę sama, podchodzi do biurka i układa szybko porozrzucane przez dzieci papiery, zagląda do korekty, z trudnością odrywa się od swego zajęcia, muzyka na dobre dolatuje z pokoju Chopina, kompozytor przegrywa zaaferowane scherzo. Pani Sand podchodzi do drzwi Chopina i stoi przez chwilę).

GEORGE SAND: Fryderyku! *(bardzo stanowczo)*: Fryderyku! *(muzyka się urywa)*. Obiad! Mam nadzieję, że nie zapomniano o twoim bulionie. Znowu kaszlałeś dziś w nocy. *(Idzie ku przodowi sceny, Chopin próbuje coś na fortepianie)*: No, chodź już nareszcie! Ach ta muzyka! Kiedy się zagra, o niczym nie pamięta! Nawet o jedzeniu. *(do siebie)* Nawet o szaradach Solange.

KURTYNA

AKT II

(Letnie popołudnie, bardzo gorące i przed burzą. Muzyka Chopina brzmi niezmiennie, słychać części largo i scherzo, temat finału. Częste przerwy w graniu napełnia muzyka grzmotów. Atmosfera parnego dnia musi być bardzo podkreślona we wszystkich szczegółach.

Solange przechodzi przez salon w kapeluszu, zmierzając do ogrodu. Słyszy muzykę Chopina, zatrzymuje się, słucha przez chwilę bez uśmiechu, odwraca się w stronę pokoju Chopina, podchodzi na palcach do drzwi, zagląda, uśmiecha się. Słucha jeszcze przez chwilę. Pomalutku przymyka drzwi, muzyka słabnie. Kiedy odwraca się od drzwi, staje oko w oko z Fernandem, który przed chwilą wszedł od ogrodu).

FERNAND: Dzień dobry pani!

SOLANGE: Przestraszył mnie pan. Nie spodziewałam się pana zobaczyć.

FERNAND: Przecież umówiliśmy się na dzisiaj. Obiecała mnie pani wysłuchać.

SOLANGE: Obawiam się, że ta rozmowa trochę niepotrzebna.

FERNAND: Nie zdaje mi się. Musieliśmy raz wszystko wyjaśnić.

SOLANGE: Nie mamy nic do wyjaśnienia.

FERNAND: Od tak dawna uważałem panią za moją narzeczoną. Ojciec mój...

SOLANGE: Dziecinne zabawy. Śmieszne nawet powoływać się na takie przyrzeczenia. Nie żyjemy, chwała Bogu, w średniowieczu, kiedy rodzice zaślubiali sobie dzieci w kolebkach. Moja matka, aczkolwiek wychowała mnie o wiele mniej swobodnie niż siebie sama, jednak nie będzie mnie zmuszała do tego wyboru.

FERNAND: Ależ kto mówi o przymusie?

SOLANGE: Fernandzie. Mówmy sobie jak za dawnych czasów po imieniu, tak jak wtedy kiedyś mnie nazywał swoją narzeczoną. Dobrze?

FERNAND: Jeszcze się pytasz?

SOLANGE: To nam ułatwi tę rozmowę. Bo trzeba, abym ci powiedziała wiele rzeczy.

FERNAND: Wiele rzeczy? Myślę, że mi chcesz powiedzieć tylko jedną. Dlaczego nie chcesz zostać moją żoną?

SOLANGE: Dlatego, że ciebie nie kocham, Fernandzie!

FERNAND: Ach, dlaczego mi to mówisz?

SOLANGE: Jakże mogę to ukrywać? Nie kocham ciebie, Fernandzie, a za bardzo cię szanuję, abym cię miała zwodzić.

FERNAND: Dobrze, dobrze. Pomówmy jednak rozsądnie. Wiesz dobrze, jak ja cię kocham: bez miary. Dlaczego nie chcesz zawierzyć mojej miłości, że ona jest tak wielka, że wystarczy nam za wszystko i za moją miłość, i za twoją....

SOLANGE: Ach...

FERNAND: Wierzaj mi, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Nie chwiej tak głową. Naprawdę tak jest, inaczej nie czułbym w sobie tego uczucia. Więc mówię ci, powtarzam ci! Zawierz mi, tak po prostu zaufaj. Jestem zwyczajny, prosty człowiek, wychowałem się na wsi, spędziłem tu pół życia. Poza moim Berry znam tylko klasztor, gdzie mnie wychowali ojcowie. Nie jestem artysta, ani żaden mydłek z Paryża — i kocham cię bardzo po prostu.

SOLANGE: Ach, to nie to...

FERNAND: Jak to nie to?

SOLANGE: Nie to mnie odstręcza od ciebie. Wiem, że jesteś zacnym, kochanym chłopcem.

FERNAND: No więc? Czegóż ci więcej trzeba? A ja bym chciał ciebie nie tylko mieć za żonę, ale jeszcze wyrwać ciebie tutaj z tego domu, gdzie twoja niewinność... twoja niewinna dusza...

SOLANGE *(wybucha śmiechem)*: No, wypowiedz, wypowiedz, nareszcie, że moja niewinna dusza jest narażona na szwank. Czy to chciałeś powiedzieć? Pamiętaj, że jestem córką George Sand, wnuczką markietanki, prawnuczką kochanicy królewskiej. Ten dom o pozorach mieszczańskich widział już niejedno. Moja niewinna duszyczka też nie jest taka niewinna jak ta, o której marzyłeś w swoim surowym klasztorze, gdzie cię wychowywali pobożni ojcowie. Gdybym ci zaczęła opowiadać, o czym wiem i co się tutaj dzieje, tu, tu w tym domu, włosy by ci zbielały... Jesteś śmieszny ze swoją niewinnością...

FERNAND: Widzisz, Solange, samej ci ciąży ta atmosfera.

SOLANGE: Ale nie chciałabym, abyś się tutaj dostał. Szkoda cię.

FERNAND: Gdybyś mnie kochała, nie żałowałabyś mnie i na pewno wszystko inaczej byłoby w tym czarującym Nohant po naszym ślubie...

SOLANGE: Tak, zmieniłbyś naturę mojej matki, Maurycego, moją... Patrzcie jaki cudotwórca.

FERNAND: Nie, nie, nie odbiegajmy od tematu. Mówisz zupełnie o czym innym. Zapytałem cię po prostu, dlaczego nie chcesz spróbować szczęścia, opartego jedynie na mojej miłości.

SOLANGE: Bo nie widzę w tym szczęścia, to bardzo proste...

FERNAND *(po pauzie)*: Jeżeli mówisz, że mnie nie kochasz, czy mam zrozumieć, że kochasz innego?

SOLANGE: Co ci do głowy przychodzi?

FERNAND: Inaczej też nie mogę zrozumieć. Gdybyś mnie tylko nie kochała, starałbym ci się wytłumaczyć, pokochałabyś

mnie bardzo prędko, dałbym ci tyle szczęścia. Ale jeżeli jesteś zajęta gdzie indziej.

SOLANGE: Zajęta gdzie indziej. Mówisz stylem pani de Genlis.

FERNAND: Nie każdy ma styl twojej matki.

SOLANGE: Zajęta gdzie indziej... A gdyby tak było?

FERNAND: Posunąłbym się jeszcze do tej śmiałości i zapytałbym się, kogo kochasz?

SOLANGE: Fernandzie!

FERNAND *(pada na kolana przed nią)*: Sol... Sol... na pamięć naszej przyjaźni, na pamięć naszych lat razem spędzonych, przez mojego ojca, który cię tak kocha, powiedz, kogo kochasz?

SOLANGE: Wstań, wstań w tej chwili *(podnosi go)*. Jakiś ty naprawdę w gorącej wodzie kąpany... Otrzep sobie kolana, bo jeszcze kto nadejdzie i zobaczy cię. Będzie śmiech.

FERNAND: I tak wszyscy śmieją się ze mnie i jeszcze będą się śmieli. Ale powiedz... jestem przerażony, czuję jakieś niebezpieczeństwo nad twoją głową. Ty się gubisz...

SOLANGE: Dajże spokój, jestem zimna głowa, nie darmo nazywają mnie na żarty „panem baronem". To ja jestem chłopcem, nie Maurycy. Nie bój się, nie bój się, żadnego głupstwa nie zrobię...

FERNAND: Tak mówisz. Kobieta zawsze jest nieobliczalna w swoich krokach...

SOLANGE: A jeżelibym się wreszcie zdecydowała wyjść za mąż, nie chciałabym unieszczęśliwiać właśnie ciebie, za twoją szczerą, nie wątpię o tym, miłość.

FERNAND *(całuje ją w rękę)*: Ach, jaką szczerą...

SOLANGE: I chcę ci się odwzajemnić za tyle dobroci i tyle dobrych zamiarów względem mnie. Powiedzieć ci: ja naprawdę nie wiem, w kim jestem zakochana...

FERNAND: Nie rozumiem...

SOLANGE: Ja nawet sama nie wiem, czy ja jestem zakochana. To wszystko, nic więcej nie mam ci do powiedzenia.

FERNAND: Nic nie rozumiem. Czy nie możesz mi powiedzieć wyraźniej?

SOLANGE: Wyraźniej? Nie, nie, i tak za dużo ci powiedziałam. Za dużo samej sobie powiedziałam. Idź, idź, Fernandzie.

FERNAND: Nie zostawisz mi nic? Żadnej nadziei?

SOLANGE: Idź, idź, ty uczniu madame de Genlis..

FERNAND: Do widzenia! Solange...

SOLANGE: Do widzenia, do widzenia... pozdrów twojego ojca... i... dziękuję...

FERNAND: Nie masz do mnie żalu?

SOLANGE: Nie, nie, idź już nareszcie... śmieszne chłopczysko...

FERNAND: Do widzenia. Ale mogę tu czasem przychodzić?

SOLANGE: Po co? Lepiej nie. Ale jeżeli chcesz... idź... *(Fernand wychodzi)*.

MAURYCY *(wchodzi)*: Solange, coś ty taka zmieniona?

SOLANGE: To ten upał tak działa...

MAURYCY: Fernand wyleciał stąd jak z procy... Biegł prawie przez park... Jak bomba wpadł na mamusię... Co się tu stało?

SOLANGE: A co ciebie to obchodzi?

MAURYCY: Jestem twoim starszym bratem...

SOLANGE: Przypomniał sobie...

MAURYCY: Rzeczywiście trudno wytrzymać w tym domu, ciągle jakieś hece.

SOLANGE: Rzeczywiście. To się ktoś kocha, to się ktoś bije po twarzy.

MAURYCY: Proszę bez głupich aluzyj...

SOLANGE: Ależ to nie są żadne aluzje! Mówię ci otwarcie w oczy: jesteś nieznośny i niepoczytalny.

MAURYCY *(zaskoczony)*: Dlaczego?

SOLANGE *(śmieje się)*: Dlaczego? Także pytanie. Sam sobie na nie odpowiedz. Kto wygryza z domu służbę? Kto tak pozrażał sąsiadów, że żaden tu nie przyjedzie i żaden cię nawet na polowanie nie zaprosi? Kto romansuje z kuzynką, którą tu rodzice przysłali „na wychowanie"? Kto gościom naszej matki tak dokucza, że trudno im jest wytrzymać?

MAURYCY: Niech nie wytrzymują...

SOLANGE *(zbliża się do Maurycego i mówi po cichu)*: A kto z nową ładną pokojówką zaczyna po swojemu?

MAURYCY *(z niepokojem)*: Skąd wiesz?

SOLANGE: Wiem, bo wiem, ale tutaj nie radzę. Wiesz dobrze, czyja to własność.

MAURYCY: Ach Boże, co za dom.

SOLANGE: Jeżeli go opuścisz, wszyscy odetchną z ulgą.

MAURYCY: Chciałabyś się mnie pozbyć.

SOLANGE: A cóż mi tam? Możesz tu siedzieć...

MAURYCY: Nohant i tak jest moje.

SOLANGE: Wiem, wiem, nie potrzebujesz mi tego powtarzać. Zabezpieczyłeś się, jak mogłeś. Nie bój się, mamusia cię nie skrzywdzi... *(ze złością)*: Oczko w głowie.

MAURYCY: Masz swój posag po babce. Masz wspaniały pałac.

SOLANGE: Ohydny, zrujnowany dom w prowincjonalnym miasteczku...

MAURYCY: Nie bój się. Clésingerowi to jeszcze imponuje.

SOLANGE: Proszę cię, nie dokuczaj.

MAURYCY: Odwaliłaś oczywiście Fernanda. Dlatego że jest bogaty, poczciwy i patrzy na wszystkie twoje wybryki przez palce.

SOLANGE: Co cię obchodzi to wszystko, powtarzam? Nie interesowałeś się ani moim wykształceniem, ani moim wychowaniem. Nigdy nie byłeś dla mnie prawdziwym starszym bratem, walczyłeś o pierwsze miejsce zawsze — nawet w sercu matki — a teraz nagle zgłaszasz pretensje starszego brata. Nie, to doprawdy przechodzi wszelkie pojęcie.

MAURYCY: To są tak ważne rzeczy dla całej rodziny, że muszą mnie interesować. Nie jest bynajmniej rzeczą obojętną dla mnie, jakiego będę miał szwagra. Fernand bardzo mi odpowiadał...

SOLANGE: A mnie nie odpowiadał i koniec. To powód dostateczny.

MAURYCY: A Clésinger?

SOLANGE: Nie wiem. Jest nazbyt brutalny.

MAURYCY: Brutalny?...

SOLANGE: Tak... Nie, nie, nie ma o czym mówić...

MAURYCY: Tylko nie zrób jakiego skandalu.

SOLANGE: Ach, panie baronie... Broń Boże!... Zapewne ściany naszego rodowego pałacu zapadłyby się ze zgorszenia *(śmieje się)*: Jakoś w naszej rodzinie z dziada pradziada, dziedzicznie, że tak powiem, obywamy się bez ojców. Pozwól, niechże i ja jeszcze powiększę ten zastęp cnotliwych matron i matek rodzin...

MAURYCY: Jesteś bezczelna. Urągasz temu, nad czym należałoby płakać.

SOLANGE: Płaczę. Ale to nic nie zmieni. Jesteśmy familianty, że proszę siadać, od króla polskiego do Napoleona, a przynajmniej do jego generałów, którzy kopami przechodzili przez sypialnię naszej babci... To nie zmieni faktu, że nasza matka zmieniała kochanków jak rękawiczki...

MAURYCY: Skąd wiesz?

SOLANGE: Skąd wiem? Ja biedna, niewinna dziewczyna, skąd ja mogę wiedzieć takie rzeczy? Wiem nawet więcej, wiem, kto nie jest kochankiem mojej matki.

MAURYCY: Kto, na przykład?

SOLANGE: Szach perski...

MAURYCY: Myślisz... o tym... *(wskazuje na drzwi Chopina).*

SOLANGE: Aha...

MAURYCY: Tak, ale wszyscy myślą, że jest. Zresztą był. Pamiętasz Majorkę?

SOLANGE: Byłam za mała.

MAURYCY: Chwała Bogu. Ale ja nie byłem mały. Myślisz, że mnie to mało kosztuje, kiedy zawsze kogoś takiego widzę przy jej boku.

SOLANGE: A cóż to cię obchodzi? Jak ty się wszystkim przejmujesz?

MAURYCY: To jest przecież nasza matka. Nie, ja kiedyś wreszcie postawię na swoim i powiem: dosyć, basta! Powyganiam ich wszystkich z domu.

SOLANGE: Ohohohohoho... wyobrażam sobie. Już widzę, jak stoisz i krzyczysz, a mamusia ulegle odchodzi, żegna swych przyjaciół, porzuca Nohant. Takiego bohatera chcesz zrobić, a siedzisz u niej pod pantoflem. Ograniczasz się do dokuczania Chopinowi. Znam większe bohaterstwo.

MAURYCY: Zobaczysz.

SOLANGE: A jak będziesz w lepszym humorze, porozmawiamy o tych pieniądzach, coś ode mnie pożyczył.

MAURYCY: Idziesz z nami na polowanie?

SOLANGE: Nie, nie idę.

MAURYCY: Przecież miałaś iść?

SOLANGE: Nie wiedziałam, że macie iść z Clésingerem. I co to za polowanie. Co wy tam ustrzelicie? Oby nie jaką sarnę z Nohant.

AUGUSTYNA *(wchodzi)*: Parno dzisiaj w ogrodzie.

MAURYCY: No, idziesz? *(wychodzi).*

AUGUSTYNA: Dokąd idziesz? Maurycy, zaczekaj! Poszedł...

SOLANGE: Woli strzelać wróble niż pliszki *(wychodzi).*

ROUSSEAU *(wchodzi)*: Szukałem właśnie pani. Chciałem się pożegnać.

AUGUSTYNA: Znowu się pożegnać? Codziennie pan wyjeżdża i co dzień pan zostaje.

ROUSSEAU: Tym razem wyjeżdżam na dobre. Ale dopiero jutro. Nie wiem, czy będziemy mogli sobie powiedzieć bez świadków tych parę słów...

AUGUSTYNA: Chciałam tylko pana poprosić...

ROUSSEAU: Do pani nie mam żadnego żalu. Dałem się łatwo przebłagać. Dałem się spoliczkować *(z uśmiechem)*... dla pani.

AUGUSTYNA: Niechże pan nie bierze tego za złe Maurycemu. To taki jeszcze dzieciak. On nie wie jeszcze, co to jest życie.

ROUSSEAU: Moja droga panno Augustynko. Naprawdę ja bardzo rozumiem pani miłość. Maurycy jest czarujący. Ja panią zupełnie rozumiem. Niech pani nie tłumaczy sobie źle mojego uniesienia. Tylko mi żal pani, bo mam wrażenie, że panią tu wyzyskują.

AUGUSTYNA: Ależ, panie Teodorze...

ROUSSEAU: Bo ja panią bardzo kocham, panno Augustyno.

AUGUSTYNA: Biedny pan... *(wyciąga do niego rękę).*

ROUSSEAU: Niech pani nie ma do mnie żalu *(całuje ją w rękę).*

AUGUSTYNA: Ach, i ja jestem bardzo nieszczęśliwa.

ROUSSEAU: Ja wiem.

AUGUSTYNA: Tak, ale to wszystko nic nie pomoże *(gładzi go po głowie).* Biedny pan.

ROUSSEAU: Trudno jest sobie dać radę...

AUGUSTYNA: Mam małą prośbę do pana. Życzenie... Niech pan jeszcze nie wyjeżdża... potrzeba mi na razie kogoś mieć przy sobie. I tak miał pan dłużej zabawić. Niech pan zostanie.

ROUSSEAU: Panno Augustyno...

AUGUSTYNA: Może wyjedziemy razem...

ROUSSEAU *(uszczęśliwiony)*: Panno Augustyno...

AUGUSTYNA: Ja panu nic nie powiedziałam. Tylko może będę potrzebowała pana pomocy... w pierwszych dniach... w Paryżu... Prawie nie znam tego wielkiego miasta *(zamyśla się, przechodzi ją lekki dreszcz trwogi)*.

ROUSSEAU: Jestem zawsze u pani stóp...

AUGUSTYNA: Nie trzeba, aby nas widzieli tu razem, do widzenia...

ROUSSEAU: Do widzenia *(rozchodzą się w dwie strony)*.

(Scena przez chwilę pusta. Dochodzą pierwsze odgłosy zbliżającej się burzy. Daleki i równy pomruk grzmotu. Potem następuje gwałtowna i niewyraźna kłótnia gdzieś niedaleko: to Jan kłóci się z kucharką. Kłótnia po chwili milknie. Trochę wiatru uderza w okno).

WODZIŃSKI *(wchodzi)*: Jak ja nie lubię tej burzy... *(zamyka okna i drzwi ogrodu, otwiera drzwi do pokoju Chopina i woła)*: Frycek, Frycek! Zamknij okno, burza nadchodzi... *(muzyka nie milknie)*. Nic nie słyszy. Na dworze burza, w kuchni też... *(Jan wchodzi i kieruje się w stronę pokoju Chopina)*: Dokąd to, Janie. Nie trzeba przeszkadzać panu Chopinowi. Czego Jan chce?

JAN: Bo to, proszę łaski pana hrabiego, wytrzymania nijakiego nie ma.

WODZIŃSKI: Mówiła mi pani. Kłóci się Jan jak najęty z kucharką.

JAN: A gdzie ja się tam kłócę? Ja to jeszcze jestem anioł w porównaniu z tą lafiryndą.

WODZIŃSKI: Nagadał jej Jan jakichś strasznych rzeczy.

JAN: A co ja jej mogłem nagadać? Tyle co umiem. Laide

comme cochon, bouche comme derrière. A bo to ja więcej umiem?

WODZIŃSKI: Niech Jan nie zapomina, że pan Chopin tutaj jak gdyby w obcym domu. A Jan takie awantury wyprawia. Czy to możliwe?

JAN: W obcym, albo i nie w obcym. A jak ona śmie, szelma jedna, nóż mi zabierać ze stołu. I to jeszcze z Polski nóż, proszę jaśnie pana. A ja jej powiadam: nie bierz noża, taka a taka...

(Muzyka nagle milknie, Chopin zatrzaskuje drzwi, które otworzył Wodziński).

WODZIŃSKI: No, widzi Jan, i zirytował Jan pana Chopina. Nie ma co, musi się Jan albo do Zuzanny przyzwyczaić, albo się stąd wynosić. Pani baronowa przecież Zuzanny nie odprawi.

JAN: Pan Chopin mnie nie wyrzuci. A cóż bym ja robił na świecie. Drugiego takiego dobrego pana to chyba na świecie nię znajdę...

WODZIŃSKI: „Pan Chopin mnie nie wyrzuci". Na pewno wyrzuci, jeżeli Jan będzie takie rzeczy wyprawiał. Nie tyle pan Chopin, co pani baronowa.

JAN: Ja się do pana Chopina godziłem. Co mi tam ta Francuzica.

WODZIŃSKI: Niby to Jan nie wie. Jeżeli Jan tu będzie zawadzał, to pójdzie precz i koniec. Pani Sand nie będzie się na nic oglądała. Niech Jan idzie do kuchni i pilnuje się, bo to się może smutno skończyć.

JAN *(zuchwale i poufale)*: A pan hrabia niech się też pilnuje: panna Rosières nadchodzi.

WODZIŃSKI *(z gniewem)*: Proszę się wynosić! *(Jan wychodzi)* Co za poufałość...

ROZJERKA *(wchodzi bardzo szybko)*: Szukam ciebie po całym domu. Gdzie jesteś? Burza się zbliża. Lada chwila deszcz

upadnie. Bałam się, że jesteś gdzieś na dworze. Że poszedłeś z Maurycym na polowanie.

WODZIŃSKI: Nie jestem przecież z cukru.

ROZJERKA: Tak, ale... Ooooo. Słyszysz, jakie grzmoty. Nie wyglądaj oknem. Jeszcze ci się co stanie. Zamknij okno jak najprędzej. Oho... Grzmi znowu...

WODZIŃSKI: Wyglądam, bo mi się zdaje, że z tej burzy nic nie będzie.

ROZJERKA: Jak to nie będzie? Patrz, jakie błyskawice za ogrodem, znowu grzmi, musiało gdzieś uderzyć. W stronie Châteauroux.

WODZIŃSKI: Zupełnie się nie orientujesz. Châteauroux leży w innej stronie. Nad Châteauroux jest zupełnie jasno.

ROZJERKA: To ci się zdaje. Tam burza szalona.

WODZIŃSKI: Stanowczo przechodzi bokiem. Popatrz nad parkiem, tam nad kasztanami jasne, niebieskie niebo. Śliczny dzień dziś.

ROZJERKA: Rzeczywiście. *(Słychać zajeżdżający powóz)*: A to co? Powóz Chopina zajechał? Jak to? Dlaczego? Po co? Chopin jedzie? Na taki czas? Dlaczego się odwracasz? Nie? Co to wszystko znaczy? Ach, Boże, wiem, dlatego mówiłeś, że będzie pogoda! Pojedziesz do Châteauroux na karty.... I jeszcze jaki wygodnicki... pożyczyłeś powozu od Chopina. Przecież ten powóz, to cała legenda. Paryski powóz, jakiego nie ma w całej okolicy. Tylko on i pani Sand jeżdżą tym powozem. Żebyś mu go nie zniszczył. No, i znowu jedziesz do klubu.

WODZIŃSKI: No, jadę, wielkie rzeczy. Czy mi nie wolno do klubu pojechać? Przecież tu się można wściec z nudów. Chopin cały dzień brząka, pani domu znowuż nie śpi całą noc. Stanowczo więcej atramentu w tym domu wychodzi niż wina.

ROZJERKA: Ale jakie towarzystwo? Z kim przestajesz? Same geniusze!

WODZIŃSKI: Wolałbym przestawać z genialnym kucharzem.

ROZJERKA: Oczywiście, to nie Paryż. Ale dlaczego siedzisz tu tak długo?

WODZIŃSKI: A gdzie mam się podziać? Wiesz przecież, że czekam na pieniądze.

ROZJERKA: Z czym jedziesz do Châteauroux?

WODZIŃSKI: Miałem tam jeszcze coś.

ROZJERKA: A powiedziałeś mi, że nie masz już ani jednego grosza. Co to w ogóle znaczy?

WODZIŃSKI: Pożyczyłem od Chopina.

ROZJERKA: Znowu? Przecież to są już sumy.

WODZIŃSKI: On jest bardzo rad, że mi może okazać te drobne usługi...

ROZJERKA: Wątpię... Ale ja cię nie puszczę samego na taki czas.

WODZIŃSKI: Nie wierzysz, że jadę do klubu. Jeżeli chcesz, możesz ze mną jechać.

ROZJERKA: Zabierzesz mnie ze sobą?

WODZIŃSKI: Jeżeli chcesz koniecznie. Ale będzie burza. Nie boisz się piorunów?

ROZJERKA: Zaczekaj chwilkę, przebiorę się.

WODZIŃSKI: Przecież jesteś ubrana jak na bal w operze. Deszcz padać zaczyna. Jeszcze ci kapelusz zmoknie.

ROZJERKA: Chmura przeszła bokiem. Zresztą sam mówiłeś, że nad Châteauroux niebo jest czyste.

WODZIŃSKI: Słyszysz, grzmi znowu.

ROZJERKA: Grzmi w twoich uszach. Zaraz się przebiorę. Tylko szal włożę i przyczeszę włosy *(wychodzi)*.

(Rozlega się lekki grzmot, potem gwałtowny nalot deszczu, deszcz uderza o szyby, słychać trzaskanie zamykanych okien

w całym domu, głos pani Sand woła gdzieś z góry „Solange! Solange! Wracaj, bo zmokniesz!" Solange wpada gwałtownie przez drzwi od ogrodu, za nią wiatr i deszcz).

SOLANGE: Och, Boże...

WODZIŃSKI: Panno Solange! Jak pani wygląda. Zmokła pani strasznie. Niech pani zmieni suknię.

SOLANGE: Nie, nie. To tylko tak powierzchownie. Leciałam tak szybko, że deszcz nie zdążył mnie przemoczyć. To tylko włosy. Ogrzeję się przy kominku.

WODZIŃSKI: Trzeba rozpalić ogień. Tu są siarniki.

SOLANGE: Drzewo przygotowane *(rozpalają ogień).*

WODZIŃSKI: Jakże pani prześlicznie wygląda.

SOLANGE: Niech pan zostawi swoje komplementy do Châteauroux.

WODZIŃSKI: Moja dzisiejsza wyprawa nie bardzo mi się udaje.

SOLANGE *(ze śmiechem)*: Rozumiem. Rozjerka się z panem wybrała.

WODZIŃSKI: Przebiera się teraz na górze *(śmieje się).* Oczywiście o klubie nie ma już mowy.

SOLANGE: A my się tutaj będziemy nudzili. Mama zresztą będzie pisała.

WODZIŃSKI: Pani się chyba nie uskarża na brak towarzystwa.

SOLANGE: I owszem, trochę... oczywiście, jest tutaj dużo osób.

WODZIŃSKI: Zdaje mi się, że będzie ich teraz coraz mniej.

SOLANGE: A tak rzeczywiście. Odpaliłam tego biedaka Fernanda.

WODZIŃSKI: Rousseau jutro wyjeżdża...

SOLANGE: Ach, wybiera się już tak od tygodnia.

WODZIŃSKI: A jeszcze parę dni i Clésinger pójdzie jego śladem.

SOLANGE: To by dopiero był ideał.

WODZIŃSKI: Ale mamusia pani martwi się tym bardzo.

SOLANGE: To trudno.

WODZIŃSKI: I mnie pani także skazuje na wygnanie?

SOLANGE: Pana? Nie.

WODZIŃSKI: Całe Nohant kocha się w pani.

SOLANGE: Ach, właśnie, że nie całe. Podobno była znów awantura w kuchni?

WODZIŃSKI: Ach, okropna, rzeczywiście. Zuzanna zabrała Janowi nóż, pochodzący jeszcze z powstania, i on zrobił jej straszną hecę. Myślę, że tym razem Maurycy postawi już na swoim.

SOLANGE: Biedny Jan.

WODZIŃSKI: I co on ma przeciwko temu służącemu?

SOLANGE: Maurycy nienawidzi wszystkiego, co ma styczność z Chopinem.

WODZIŃSKI: Znowu będą zmiany w służbie.

SOLANGE: Czy widział pan tę nową dziewczynę do posługi?

WODZIŃSKI: Oczywiście... Kręci się już tu od paru dni.

SOLANGE: Czy uważa pan, że ona jest taka bardzo ładna?

WODZIŃSKI: Zdaje mi się, że ładna.

SOLANGE: Pan jest niepoprawny — każda kobieta wydaje się panu ładna. I ja ładna, i ta Madeleine ładna. Obrzydliwiec.

WODZIŃSKI *(zdziwiony)*: Panno Solange, nie zasłużyłem na tyle złośliwości.

SOLANGE: Nie, nie, to ja jestem niegodziwa. Rzeczywiście pan jest bardzo poczciwy, tylko nie ma pan gustu. Madeleine

nie jest wcale ładna. To ta rozmowa z Fernandem tak mnie usposobiła. Maurycy też miał jakieś pretensje. I ta burza...

WODZIŃSKI: Na dworze burza, w salonie też...

SOLANGE: Niech pan się nie gniewa, ale mam takie ciężkie dni...

ROZJERKA *(wchodzi)*: No, jestem już, jestem...

WODZIŃSKI: Nareszcie.

ROZJERKA: Jeszcze narzekasz. Jestem prędsza od błyskawicy. Do widzenia, Solange. Jedziemy.

WODZIŃSKI: Do widzenia, panno Solange. Szkoda. że się pani z nami nie wybrała. Myślę, że zastaniemy panią w lepszym humorze. Na dworze już się wyjaśnia.

SOLANGE: Do widzenia, do widzenia.

(Wodziński i Rozjerka wychodzą. Solange zostaje sama przy kominku, wzdycha głęboko. Poprawia przed lustrem włosy i wpatruje się w swoją twarz. Nuci zasłyszany motyw z sonaty. Podchodzi do drzwi pokoju, w którym Chopin gra, i otwiera je cichutko. Znowu rozlega się muzyka. Chopin próbuje początek largo. Wchodzi George Sand).

GEORGE SAND: Solange!!...

SOLANGE: Mamusiu *(szybko przymyka drzwi)*.

GEORGE SAND: Znowu podsłuchiwałaś Chopina. Nie masz najmniejszego szacunku dla jego pracy. Wiesz, jak on tego nie cierpi.

SOLANGE: Grał coś bardzo pięknego.

GEORGE SAND: Wiesz, że nikomu nie daje podsłuchiwać, gdy komponuje.

SOLANGE: Nikomu, ale nie mnie. Na pewno zaraz mi pokaże to, co napisał. Albo przerwie i zaproponuje mi granie na cztery ręce.

GEORGE SAND: Grywa z tobą na cztery ręce jedynie z grzeczności dla ciebie... czy nawet dla mnie. Grasz bardzo miernie...

SOLANGE: Nie każdy może być Chopinem, czy chociażby Kalkbrennerem... jednak mimo wszystko Chopin lubi grać ze mną na cztery ręce... To fakt. A tego marsza Schuberta gramy nawet bardzo dobrze *(nuci wesoło pierwsze takty marsza)*.

GEORGE SAND: Przestań. Jak ty się w ogóle zachowujesz?

SOLANGE: Ach, zapomniałam, że nagle chcesz widzieć we mnie dobrze wychowaną panienkę. Nie odpowiadam za złe humory mamy.

GEORGE SAND: A może właśnie odpowiadasz.

SOLANGE: To, że odpaliłam Fernanda. Miałaś ochotę wydać mnie za mąż.

GEORGE SAND: Tak, i miałam po temu swoje przyczyny. *(dotyka sukni Solange)*. Jeszcze jesteś cała mokra. Dlaczego nie zmieniłaś sukienki?

SOLANGE: Suszyłam się tutaj przy kominku. Wodziński rozpalił ogień. Pojechał teraz do Châteauroux na karty.

GEORGE SAND: Pożyczywszy powozu i pieniędzy od Chopina... Ach, ci Polacy.

SOLANGE: Nudzi się tutaj.

GEORGE SAND: A gdzie jest Clésinger?

SOLANGE: Poszli na polowanie z Maurycym.

GEORGE SAND: A dlaczego ty nie poszłaś? Miałaś przecież iść.

SOLANGE: Jeszczebym bardziej zmokła.

GEORGE SAND: Oni się pewnie schronili w oberży.

SOLANGE: Nie bardzo mi się chce pić kwaśne wino w oberży w towarzystwie Maurycego i Clésingera. Przyznaj, że nie jest to wykwintne spędzanie czasu.

GEORGE SAND: „Wykwintne spędzanie czasu"... jakbym słyszała Chopina...

SOLANGE: To bardzo możliwe. Lubię sposób wyrażania się Chopina.

GEORGE SAND: Ale on przecież nie umie mówić po francusku.

SOLANGE: Nie każdy mówi po francusku... jak ty *(pauza)*. Mamusiu, czy nie oddalisz tej służącej?

GEORGE SAND: Nie. Dlaczego powracasz ciągle do tego tematu?

SOLANGE: Tak sobie. Czy to cię nie upokarza?

GEORGE SAND: Solange!!

SOLANGE: Naprawdę? Nie? Zupełnie jest ci to obojętne?

GEORGE SAND: Ale co ciebie to obchodzi?

SOLANGE: Wszystko, co się dzieje w naszym domu, obchodzi mnie bardzo. Zresztą robisz zawsze to, co uważasz za stosowne. Nie powiem nic ani tobie, ani Chopinowi. Nie jestem podobna do Maurycego. Wydaje mu się, że staje w obronie domowego ogniska, kiedy mówi impertynencje Chopinowi.

GEORGE SAND: Pleciesz głupstwa, Solange.

SOLANGE: Ty tego nie widzisz, bo ci jest z tym wygodnie. Nie chcesz wiedzieć nic złego o Maurycym. Nawet nic o Maurycym i Augustynie.

GEORGE SAND: Milcz... Nie zapominaj, że jestem twoją matką. Zuchwała dziewczyna.

SOLANGE: Tak, jestem twoją córką i w niejednym ciebie przypominam. Toteż bawi mnie ta różnica miar, jakie stosujesz do mnie i do siebie. Chcesz mnie pobożnie wydać za mąż. Otóż nic z tego. Już jednego z tych dwóch zawadiaków, których trzymałaś przy mnie, odprawiłam przed chwilą z kwitkiem. Chcesz mnie się pozbyć z domu.

GEORGE SAND: Jesteś niesprawiedliwa, Solange. Bynajmniej

nie chcę cię wydać za byle kogo. Myślę tylko o twoim szczęściu. Spotkałam Fernanda w parku i powiedział mi o waszej rozmowie. Bardzo żałuję, że się go tak prędko pozbyłaś. To chłopak ambitny i już do ciebie nie wróci. Nie chciałabym, aby to samo powtórzyło się z Clésingerem *(pauza)*. Chowałam cię zawsze w jak najlepszym kontakcie z naturą. Nie ukrywałam przed tobą ani złych, ani też pięknych stron życia. Wiesz dobrze, jakie jest przeznaczenie kobiety, zwyczajnej kobiety. Ja jestem nieco inna, odmienna kobieta. Nie powinnaś sądzić mnie zbyt surowo. Kocham ludzkość, ale od ludzkości zawsze bardziej kochałam kogoś jednego, a bardziej od tego kogoś, kochałam moją rodzinę...

SOLANGE: Rodzinę... czy Maurycego?

GEORGE SAND *(niezadowolona)*: Rodzinę, powtarzam — was, moje dzieci.

SOLANGE: Rozumiem, ale wydaje mi się, że to są jeszcze twoje złudzenia.

GEORGE SAND: Słuchaj mnie teraz uważnie. Urządziłam moje życie, jak chciałam. To prawda — i zawsze byłam szczera. Miłość, moje dziecko, jest wielkim skarbem, jaki nam dała natura i nie należy nią gardzić. Zawsze byłam w zgodzie z moim sumieniem i dlatego jestem pewna, że zawsze mi wybaczycie. Przed wszystkimi moimi obowiązkami — kładłam obowiązek matki. Byłam wzorową matką, Solange *(pauza)*. Tak, byłam matką, jaką wymarzyłam sama i jaką wymarzyli filozofowie. Sama byłam człowiekiem i w was chciałam widzieć tylko ludzi.

SOLANGE: Nie widzisz w nas ludzi, mamusiu. Widzisz tylko zaspokojenie swoich ambicji lub ucieleśnienie swoich teoryj. A to, co się dzieje w naszych sercach — nic ciebie nie obchodzi. Nie wiem, jak Maurycy — ale ja widziałam tylko zawsze despotkę, która z moim życiem czyniła, co chciała, poczynając od przebierania mnie za chłopca. Ale teraz powiedziałam sobie: nie, stanowczo nie. Tym razem się nie uda. Teraz ja wiem, jakie

ma być moje życie — dalekie od mieszczańskich ideałów, do których zawsze tęskniłaś, nie mogąc ich urzeczywistnić w życiu. Moje życie musi być inne... Wiem komu je oddać i komu je poświęcić.

GEORGE SAND: A jeżeli nikt nie potrzebuje twoich poświęceń? Zresztą wcale nie zmuszam cię do małżeństwa. Chciałam, abyś wyszła za Fernanda. Teraz pozostaje Clésinger. Drugi, może również dobry kandydat...

SOLANGE: Ja za Clésingera nie wyjdę...

GEORGE SAND: Dlaczego?

SOLANGE: To bardzo proste. Nie podoba mi się.

GEORGE SAND *(bardzo spokojnie)*: Nie podoba ci się? A może ci się podoba kto inny?

SOLANGE: Jak to? Chyba nie Fernand?!

GEORGE SAND: Nie, nie o Fernandzie teraz myślę. Widzę, że kochasz się w Chopinie.

SOLANGE: Mamusiu!

GEORGE SAND: Przez pewien czas szanowałam tajemnicę twojego dziecinnego serca.

SOLANGE *(zakrywa twarz)*: O, mamusiu, na miłość boską...

GEORGE SAND: Nie bój się, uszanuję ją i nadal. Nikt się tego nie domyśla. Ale jeżeli to potrwa dłużej, zdradzisz się niewątpliwie. A to może mieć bardzo przykre konsekwencje... dla ciebie. Tak, teraz mogę się przyznać: pragnę cię usunąć z mego domu.

SOLANGE: Ale dlaczego? Przecież go już nie kochasz?

GEORGE SAND: Tak, od siedmu lat już nie jestem jego kochanką. Zostały tylko pozory. I mnie, i Chopinowi pozory te są obojętne. On ma swoje biedy, a ja mam swoje kłopoty. Jesteśmy przyjaciółmi. Jestem jego opiekunką, jego drugą matką. Właśnie mija siedem lat. Wtedy kiedy chorował w Marsylii po naszym powrocie z Majorki, przyszłam do niego i powiedziałam. „Mój

drogi Chopin, tobie potrzeba czego innego, zupełnie czego innego. Musisz mieć wolne życie. Twoja kochanka to muzyka. Nie powinieneś mieć żadnej innej. Basta, skończone. Jesteśmy od dziś przyjaciółmi. Chcesz?" A cóż on zresztą miał do powiedzenia. Interesowało go wtenczas wydanie tych tam preludiów. On nigdy nic nie mówi — a zwłaszcza w tych sprawach. Jego tylko raz naprawdę coś zainteresowało: to siostra Antosia.

SOLANGE: Wodzińska?

GEORGE SAND: Tak, Maria Wodzińska. Ale potem...

SOLANGE: Myślisz, że on jest bez serca?

GEORGE SAND: Serce artysty to serce zupełnie specjalnego rodzaju. Ale myślę, że ma on coś w rodzaju serca. Słyszałam je nieraz, jak biło przyśpieszone. Galopowało jak rytm jego utworów.

SOLANGE: Jakżeby żył taki człowiek bez serca?

GEORGE SAND: Cała jego wielkość może na tym polega. Chodzimy obok niego, tyle lat mieszkamy z nim i nie spostrzegamy, że nie ma po prostu serca. Oni wszyscy są tacy sami... Musset, Chopin... Oni nigdy nas naprawdę nie kochają.

SOLANGE *(z dreszczem)*: Co też ty mówisz?

GEORGE SAND: Nigdy nie kochają tak, jak potrzeba. Zawsze inaczej.

SOLANGE: Sama mówisz, że Chopin pamięta o Wodzińskiej do dzisiejszego dnia.

GEORGE SAND: Pamięta, bo mu jej nie dali. Ale czy możesz sobie wyobrazić jego jako ojca rodziny, otoczonego dziećmi, jako szwagra tego dziwaka Antosia?

SOLANGE: Nie, nie...

GEORGE SAND: No, widzisz więc sama, śmiech twój jest wyrokiem.

SOLANGE: Ale to zupełnie co innego. Moja miłość nie ma-

rzy o małżeństwie, ani o domu, ani o służbie... ani nawet może o dzieciach...

GEORGE SAND: Taak? A o czymże marzy twoja miłość?

SOLANGE: Czy ja wiem? Tak, chciałabym patrzeć na niego, słuchać, jak gra...

GEORGE SAND *(wzrusza ramionami)*: Solange, jesteś jeszcze bardzo młoda, a w każdym razie nie wiesz, co to jest namiętność. Otóż uważam jako matka, że powinnaś całą swoją wyimaginowaną miłość zdusić w zarodku. Musisz wyjść za mąż i najlepiej, jeżeli to zrobisz jak najprędzej. Clésinger jest pod ręką, jest to człowiek prosty... Boże, jaka byłabym szczęśliwa, mogąc zatrzymać przy sobie takiego prostego i nie wymagającego człowieka...

SOLANGE: Nie wiem, czy można go uważać za niewymagającego. Podobno ma straszne długi.

GEORGE SAND: Osiemdziesiąt tysięcy.

SOLANGE: On się tylko przyznaje do tej sumy. Na pewno ma więcej. Zresztą jest także artystą.

GEORGE SAND: Rzeźbiarz nigdy nie jest artystą w całym słowa znaczeniu. Do swojej sztuki bowiem potrzebuje tęgich muskułów.

SOLANGE: Doskonale. Zaraz streszczę twoją myśl. Więc, ty, kobieta wolna i wyzwolona, symbol nowoczesnej kobiety, ty, która jesteś wzorem kobiet przyszłości, ty, która pierwsza odważyłaś się chodzić w męskim stroju i palić cygara, ty, wielka pisarka, sława obu półkuli, słowem, ty, George Sand — radzisz mi uciec od miłości i paść w ramiona pierwszego lepszego rzeźbiarza, dlatego że rzeźbiarz ma mocne muskuły...

GEORGE SAND: Moja droga, wierz mojemu doświadczeniu. Mocne ramię męskie nie jest rzeczą do pogardzenia.

SOLANGE *(z wybuchem)*: Nie, nie i nie *(nagle innym tonem)*: Dobrze, ustąpię. Wyjdę za Clésingera. Czy myślisz, że wszystko się skończy, kiedy nie będzie mnie w domu? Mówisz,

że Chopin nie potrafi kochać, może to znaczy tylko, że ciebie nie potrafi kochać. Może o to właśnie czujesz jeszcze do dziś dnia żal w sercu. Jest tu wszędzie, zawsze przy tobie i nie wyznaje od rana do nocy swojej miłości. I musisz przyjmować do pomocy w kuchni aż tak ładne dziewczęta...

GEORGE SAND: Przestań. Rozum ci się pomieszał pod wpływem tego grajka. Cóż jest ta jego cała muzyka? Brząkanie na fortepianie, przemijające zjawisko, nieuchwytna sztuka? Nic się tak nie starzeje, jak muzyka. Któż teraz może słuchać Bacha albo Händla? A literatura jest wieczna. O nim dawno zapomną, kiedy moje książki będą leżały w każdej wieśniaczej chacie.

SOLANGE: Jeszcze i zawiść przez ciebie przemawia. Ja wiem, że ty nigdy nie rozumiałaś jego sztuki. Jesteś nie muzykalna, jak krzesło. Ja też nie jestem na tyle muzykalna, aby zrozumieć znaczenie muzyki Chopina. Nieraz złości mnie to granie, bo chcę, aby usiadł przy mnie, wziął mnie za rękę, aby mówił o czymś. Ale ja czuję przecież, jakie to jest straszliwie genialne. I widzisz, co mnie tak porusza, tak wstrząsa mną za każdym razem, kiedy on przegrywa jakąś swoją nową kompozycję — że tutaj w tym Nohant, w tym pospolitym środowisku, wśród kuchennych kłótni, pod twoim dachem rodzi się coś tak niezrozumiale genialnego. Coś tak wstrząsającego! O, ty daleka jesteś od takiej nieśmiertelności!

GEORGE SAND: Dziękuję ci.

SOLANGE: Nie gniewaj się. Ty jesteś pełna talentu. Ale czy ty nie czujesz, co to za człowiek?

GEORGE SAND *(w zamyśleniu)*: Tak, masz rację. Ja czuję, jaki to jest człowiek, tylko może nigdy nie wyraziłam tego tak dobitnie. Może masz rację. Ale, jeżeli tak jest, tym bardziej nie powinnaś myśleć o swojej do niego miłości. Miłość ta przyniesie tylko nowe komplikacje — odsunie go od tego, co jest istotą jego życia — od sztuki. Nie myślisz o tym, Solange?

SOLANGE: Owszem, myślę, mamusiu.

GEORGE SAND: I nie podzielasz mego zdania?

SOLANGE *(z uśmiechem)*: Nie jestem skłonna do poświęceń. Za dużo mam na to rozsądku.

GEORGE SAND: Właśnie w tym wypadku rozsądek prowadzi do poświęceń. On ci wskazuje słuszną drogę.

SOLANGE: Trzeba przecież coś w życiu postawić na kartę.

GEORGE SAND: Czy pamiętasz naszą podróż na Majorkę?

SOLANGE: Nie bardzo.

GEORGE SAND: Nie wiesz, czym ta podróż była dla mnie. Zamiast wypoczynku i twórczych pobudek, zaznałam tam chłodu — spadał na mnie tam grad kamieni ulicz ników, tułałam się z domu do domu, zewsząd wypędzana... i nie miałam w nikim oparcia... Przeciwnie, jeszcze się musiałam zajmować naszym współtowarzyszem podróży. Kaprysił, narzekał, płakał, miewał ataki. Zeszłam do roli pielęgniarki tego strasznego, niezadowolonego człowieka. Cała nasza romantyczna podróż, którą ja tak naiwnie sobie wymyśliłam, poszła na marne. Otóż, gdybyś się wybrała z nim teraz — a pomyśl, o ile jest już starszy i bardziej chory — w taką romantyczną podróż, mogłaby się skończyć ona tak samo wielkim fiaskiem. A ty nie masz moich sił i mojej żywotności, aby przezwyciężyć tę harpię, jaką jest choroba, aby być mocniejszą od jego muzy.

SOLANGE: Tak, ale on przywiózł z Majorki preludia.

GEORGE SAND: Dziękuję. Mógł je komponować beze mnie. Twoja miłość nic nie zmieni. Będzie w twoich objęciach myślał o swojej sonacie.

SOLANGE: *(z westchnieniem)*: Albo o Wodzińskiej, która się stała dla niego symbolem tej dziwnej, nieistniejącej krainy...

GEORGE SAND: Rozumiesz przecież, że to jest cudzoziemiec. Najtrudniej jest kochać cudzoziemca.

SOLANGE: Ach, to nie cudzoziemiec, to anioł... *(Madeleine wchodzi ostrożnie, niosąc na tacy filiżankę, kieruje się w stronę pokoju Chopina)*: Co to jest? Co niesiesz?

MADELEINE: Czekoladę dla pana Chopina.

SOLANGE: Daj mi to. Ja zaniosę panu Chopinowi.

MADELEINE *(usuwa się)*: Przepraszam bardzo. Ale pan Chopin polecił mi przynosić mu czekoladę... osobiście *(wychodzi do pokoju Chopina, po chwili wraca z pustą tacą i idzie w stronę jadalni, Solange śledzi ją suchymi i gniewnymi oczami)*.

SOLANGE: A tak?... Osobiście, osobiście... osobiście... doskonale *(pociąga gwałtownie za sznurek od dzwonka)*.

GEORGE SAND: Solange, co robisz?

JAN *(wchodzi)*: Słucham jaśnie panienki.

SOLANGE: Czy panowie wrócili już z polowania?

JAN: Pan Maurycy jeszcze nie, ale pan Clésinger jest u siebie na górze.

SOLANGE: Proszę go poprosić, aby przyszedł tu natychmiast.

GEORGE SAND: Solange, zastanów się... *(ściska ją)*.

SOLANGE: Niech mamusia idzie... Niech mama sobie idzie... *(wypycha ją za drzwi, chodzi wzburzona po pokoju, znowu zatrzymuje się przed lustrem, zaciera ślady łez)*.

CLESINGER *(wchodzi dość nieśmiało)*: Pani...

SOLANGE: Jakże tam polowanie?

CLESINGER: Nieszczególnie. Burza nas spłoszyła. Czy pani chciała pozować?

SOLANGE: Nie, nie... Jestem dziś zdenerwowana. Zdaje się zresztą, iż portret jest tak daleko posunięty, iż nie potrzebuje już mnie pan torturować.

CLESINGER: To są raczej tortury dla mnie.

SOLANGE: Chciałam z panem pomówić.

CLESINGER: Słucham panią.

SOLANGE: Powiedziałam dziś Fernandowi, aby tu już nie przyjeżdżał. Tak, jak mnie pan o to prosił... *(milczenie)*: Czy to panu nic nie mówi?

CLESINGER: Panno Solange! Nie śmiem rozumieć.

SOLANGE: Niech mnie pan zabierze jak najprędzej z tego domu, rozumie pan, jak najprędzej. Ja nie mogę tu wytrzymać, tu jest nieznośna atmosfera. Czy pan tego nie odczuwa?

CLESINGER: Mnie jest tu bardzo dobrze. Ale jeżeli pani chce — wyjedziemy natychmiast.

SOLANGE: Zaręczymy się, pojedziemy do mojego ojca, a potem zaraz ślub, zaraz ślub.

(Chopin wchodzi, wejście jego nie ma nic znaczącego, nic wielkiego. Skrada się pośpiesznie i cichutko, trzymając w ręku pióro i kawałek papieru nutowego, z którego nie spuszcza wzroku. Idzie do biurka pani Sand i tam szuka czegoś, wreszcie zabiera stamtąd kałamarz i wraca do swojego pokoju. Wtedy dopiero spostrzega Solange i Clésingera. Uśmiecha się jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku).

SOLANGE: Ej, Chopin, mamusia będzie się znowu gniewała, gdy nie znajdzie swego kałamarza na miejscu.

CHOPIN: Wysechł mi atrament, nie mogę pisać... *(chce iść do swego pokoju).*

SOLANGE *(zatrzymuje go)*: Powinszuj nam, Chopin, jesteśmy zaręczeni...

CHOPIN *(odrywa wzrok od papieru nutowego i bardzo długo patrzy na Solange — chce powiedzieć coś gwałtownego, ale wstrzymuje się, potem znowu odwraca wzrok na nuty, które trzyma w ręku i mówi bardzo chłodno)*: Ach, tak... Winszuję serdecznie... *(skłania się lekko przed Clésingerem i wychodzi).*

SOLANGE *(z rozpaczą)*: Nic nie powiedział...

CLESINGER *(obojętnie)*: Rzeczywiście nie bardzo się ucieszył z tej wiadomości.

SOLANGE: A ty nie cieszysz się?

CLESINGER: Ja, Solange? Czyż możesz się pytać? *(Ale jest zdekoncertowany tym wszystkim).*

SOLANGE *(rzuca się na szyję)*: Zabierz mnie, zabierz mnie czym prędzej...

CLESINGER: Chodź, chodź... Uciekamy do ojca, potem do Paryża. Nie wrócimy już nigdy do Nohant.

SOLANGE: Nigdy do Nohant? A jeżeli Nohant będzie moje?

CLESINGER: To nie jest dom dla szczęśliwych ludzi.

SOLANGE: Ale my musimy być szczęśliwi. Cóż nas obchodzi Chopin i ta jego Polska? Ta czy inna jego kochanka! Jak on nam powinszował.

CLESINGER: Chodź, chodź... Wezmę cię jak najprędzej, zabiorę cię stąd, przypieczętuję moją miłość *(nagle namiętnie)*. Chodź, chodź, nie rozmyślaj nad tym grajkiem... Chodź do pracowni...

SOLANGE: Jak najprędzej, jak najprędzej. Ja chcę, aby się wszystko stało jak najprędzej, aby już nie było powrotu...

CLESINGER: Boże, jaki ja jestem szczęśliwy...

(Porywa Solange na ręce, wydaje się ona słabą i bezbronną dziewczyną na rękach tego olbrzyma: wynosi ją okrywając pocałunkami).

KURTYNA

A K T III

(Ten sam pokój przed wieczorem. Chłodniej, ogień płonie na kominku. Scena przez chwilę pusta, słychać odgłosy wieczerzy z przyległego pokoju. Wesoła rozmowa przechodzi, nagle we wrzawę nieporozumienia. Po chwili szybko wchodzi Chopin, za nim Wodziński).

CHOPIN: Nie, nie, nie. Tego już stanowczo za dużo, nie dam z siebie robić pajaca.

WODZIŃSKI: Ależ, Frycku, przesadzasz. Czy można robić awantury o takie głupstwa?

CHOPIN: Zawsze, zawsze Maurycy jest pierwszy. Wszystko zawsze robi się i robiło dla tego impertynenta. Przecież dla zdrowia Maurycego pojechaliśmy na tę okropną Majorkę. Nigdy ja nie zapomnę tej podróży.

WODZIŃSKI: No, ale tym razem... pani Sand zrobiła to mechanicznie.

CHOPIN: Nie, nie, nie... Tym razem stanowczo wyjeżdżam *(dzwoni)*: Janie, Janie...

WODZIŃSKI: Naprawdę, Frycku, poczekaj jeszcze z tą twoją decyzją. Ochłoń trochę. Tak się przejąłeś tą pulardą.

CHOPIN: Ona doskonale wie, że ja nie znoszę nóżki. Jadam tylko białe mięso.

WODZIŃSKI: Ale dla głupiej kury nie będziesz zrywać dziesięcioletniej przyjaźni.

CHOPIN: To jest ostatnia kropla. Oczywiście, pierś była dla Maurycego.

WODZIŃSKI: Po prostu pani Sand pomyliła talerze.

CHOPIN: Ale nie. On także jada tylko białe mięso. Otóż teraz będzie albo on, albo ja. Gdzie jest ten Jan? *(woła przez drzwi do ogrodu)*: Janie, Janie...

JAN *(wchodzi drzwiami od pokoju)*: Słucham jaśnie pana...

CHOPIN: Proszę natychmiast przenieść fortepian z mojego pokoju tutaj, tak jak stał, o tu... I natychmiast znieść wszystkie kufry ze strychu i pakować. Wszystko zaraz upakować na jazdę do Paryża. Pudła do kapeluszy też... i niech zaraz zaprzęgną konie do mojego powozu. Zaraz. Z Châteauroux odeślemy konie z powrotem. I Jan też ze mną pojedzie.

JAN *(żegna się)*: Słucham jaśnie pana...

CHOPIN: I żeby mi portek nie pognieść, bo Jan tak pakuje, że potem nie można się doprasować. Straszne! *(siada na fotelu)*. Zaraz, Janie, zaraz. Wszystko natychmiast.

JAN: Słucham jaśnie pana *(wychodzi)*.

WODZIŃSKI *(spokojnie)*: Naprawdę, Frycku, puść w niepamięć tę pulardę. Nie róbże o to takiej awantury.

CHOPIN: Nareszcie, nareszcie opuszczę ten dom. Mój drogi, co to za dom, przecież tu się dzieją takie rzeczy... Tego małego Russa nabili po twarzy... choć to u tych Francuzów to nie takie wielkie nieszczęście. I jeszcze mu wytłumaczyli, że to dla jego dobra. Fernanda odstawili, bo to porządny chłopiec. Ta dziewczyna ginie za Maurycym i matka patrzy przez palce na wszystko. A teraz tę małą wydają za Clésingera. Sami kwaszą się w złości. Starzeją się w tych kwasach.

WODZIŃSKI: W gruncie rzeczy, co cię to wszystko obchodzi. Dobrze, Augustyna puszcza się z tym bęcwałem. Tę małą wydają za Clésingera. Co ci do tego?

CHOPIN: Ależ to małżeństwo z Clésingerem to przecież zbrodnia! Po prostu zbrodnia.. Toż to zwyczajny sierżant, bez

szkół, bez nauki. Nie, mój drogi, ja mam już dość tych tutejszych obyczajów.

WODZIŃSKI: Skoro cierpiałeś to już tyle lat.

CHOPIN: Naturalnie. Ale ze mną tak: do czasu jestem cierpliwy, ale potem jeżeli nie, to nie.

WODZIŃSKI: Namyśl się. Nie jedź.

CHOPIN: Mój Antku drogi. Tam na fortepianie porozrzucano tyle nut, tyle papierów. Oni, ta służba, wszystko mi pogubią. Zrób tam porządek, poświęć się. Zobacz, czy wszystko po kolei, poskładaj do kupy. Pogubią te szkice, co wtedy będzie? A muszę nową sonatę moim Żydom przygotować.

WODZIŃSKI *(wzrusza ramionami)*: Jak chcesz! *(chce wyjść)*

CHOPIN: A ta twoja Rozjerka, łodyga stara... To ona wszystkie te plotki przed najwyższy ołtarz nosi. O tę małą Madeleine także już oczy wypiekają. Że niby ładna dziewczyna, ale co mnie teraz te kobiety obchodzą... Gorzej, że niby na Solange... i na mnie także nagadała. Oczywiście, ja Solange... bardzo lubię. Dobra z niej dziewczyna. Stąd te raptowne zmiany humoru.

WODZIŃSKI: Chyba mylisz się.

CHOPIN: No, nie gniewaj się proszę, ale tak jest.

WODZIŃSKI: Wiesz dobrze, że nie mam złudzeń co do Rozjerki. Ale jestem do niej przywiązany. Kiedy się dowiedziała o mojej chorobie, przyjechała do Poznania. Pomyśl, co to znaczy dla Francuza przyjechać do Poznania, to trzeba ocenić.

CHOPIN: Miałeś mi złożyć nuty, kochanie.

WODZIŃSKI: Zaraz, zaraz... *(wychodzi)*.

(Chopin w momencie, gdy zostaje sam, zmienia się kompletnie, osuwa się w fotel, załamuje się, starzeje. Całe panowanie nad sobą opuszcza go. Jednocześnie widać, że prześladuje go jakaś idea, że szuka czegoś, zamyśla się).

(Jan i Madeleine przenoszą fortepian z pokoju Chopina i stawiają przy pustej ścianie w salonie. Chopin natychmiast podchodzi do instrumentu i próbuje kilka taktów. Kiwa głową z dezaprobatą).

CHOPIN: Nie, nie, to nie tak.

(Podczas całej następnej sceny Jan i Madeleine przenoszą do pokoju znaczną ilość bardzo dużych kufrów. Ilość i rozmiar ich powinny usprawiedliwić wyniesienie fortepianu. Oprócz kufrów są tam pudła do kapeluszy i cylindrów, kufry na buty, zawiniątka z laskami i parasolami. Chopin wraca na fotel. Wchodzi pani George Sand).

GEORGE SAND: Wyjeżdżasz?

CHOPIN: Tak, wyjeżdżam.

GEORGE SAND: Zdecydowałeś się ostatecznie?

CHOPIN: Jak widzisz.

GEORGE SAND: Wyjazd z tego domu po dziesięciu latach naszej poufałości mógł mieć inny pretekst niż nieszczęsna pularda, którą tak niefortunnie podzieliłam *(milczenie)*. Miałeś w tym domu opiekę prawdziwie macierzyńską.

CHOPIN: Dziękuję ci. W istocie.

GEORGE SAND: Nie myśl, że przychodzi mi to z łatwością. Nie jesteś w pożyciu najłatwiejszym z ludzi. Przysporzyłeś mi niejeden ciężki moment. Musiałam dla ciebie bardzo wiele poświęcić.

CHOPIN: Kochanków czy konwenansów?

GEORGE SAND: Nie, tego nie poświęciłam. Ale chociażby uczuć macierzyńskich. Stałeś się moim trzecim dzieckiem i kochałam cię może z uszczerbkiem dzieci prawdziwych. Stąd ta wasza nienawiść z Maurycym. Jesteś i byłeś zazdrosny o mojego syna *(milczenie)* *(George Sand siada w drugim fotelu)*: Czy myślisz, że dzieci nie czuły całego fałszu naszej sytuacji? Nikt mi jeszcze nie zawiązał tak świata jak ty... Nie zapominaj, że nasza przyjaźń datuje się od lat dziewięciu.

CHOPIN: Nie zapominam.

GEORGE SAND: Nie powinieneś się dziwić Maurycemu, że ma do ciebie pewne żale.

CHOPIN *(zimno)*: Powinienem się był z tym oswoić, skoro go chcesz wychować na saint-simonistę. Wobec przyszłych falansterów, żadna sytuacja nie powinna go przerażać.

GEORGE SAND: Nie dokuczaj mi moimi ideami! Myślę, jak chcę i jak mi się podoba. Mam takie zapatrywania i koniec. Nikomu nigdy nic nie zarzucam. Najlepszy dowód, że nawet moja córka zdaje się podzielać twoje arystokratyczne gusta.

CHOPIN: O!

GEORGE SAND: Myślisz że mi serce się nie kraje, kiedy widzę cię słabego i bladego jak trup, kiedy w ciągu jednego wieczora odwiedzasz trzy lub cztery arystokratyczne salony. Wiem, że ci nic z tego nie przyjdzie, prócz choroby. A jednak milczę i milczałam. Marzyłam dla ciebie o innej karierze. Myślałam, że kiedyś twoja muzyka przełożona bez żadnej najmniejszej zmiany na tony wielkiej orkiestry, stanie się muzyką nowego człowieka. Myślałam, że będziesz grał dla ludu.

CHOPIN: Na razie musiałem grać dla narodu.

GEORGE SAND: Zapatrywania nasze na rolę artysty w życiu narodu są tak odmienne. Trzeba było całej mej delikatności, abym nie dała ci poznać, Chopin, jak inaczej ją sobie wyobrażałam. Jak Mickiewicz wyobrażałam sobie ciebie jako twórcę wielkiej opery narodowej w guście Meyerbeera...

CHOPIN: Mickiewicz nie zna się na muzyce.

GEORGE SAND: A jednak bolał razem ze mną nad twoim sposobem życia, nad rozpraszaniem się po salonach, nad twoją lekkomyślnością... Pamiętasz ten wieczór, kiedy ci tak serdecznie

mówił o zadaniach twej sztuki? Błagał cię ze łzami w oczach, abyś zmienił tryb życia.

CHOPIN: Wiem, wiem, toś ty go namówiła! To było bardzo nietaktowne z jego strony.

GEORGE SAND: Ale dyktowane sercem tego wielkiego człowieka.

CHOPIN *(wzdycha)*: Biedny Mickiewicz.

GEORGE SAND: Czyż twoi przyjaciele nie znaleźli u mnie domu rodzinnego? Mickiewicz, Zaleski, Witwicki — czyż nie byli moimi braćmi? Czyż nie niosłam im największego daru, jaki można ofiarować nieszczęsnym tułaczom: daru zrozumienia.

CHOPIN: Prędzej przestaną rozróżniać dur od mol, niż Francuz zrozumie Polaka.

GEORGE SAND: Nareszcie powiedziałeś to wyraźnie, o czym chciałam już dawno mówić. Nie rozumiemy was. Wy jesteście przeczulone duchy, unoszące się jak Ariele nad kalibańskimi mieszkańcami waszych barbarzyńskich ziem. A my, my *(z dumą)* Francuzi — nie możemy was odczuć ani zrozumieć! Tak, to prawda — my myślimy inaczej. My tworzymy społeczeństwo inne niż wy. My mamy inną literaturę niż wy.

CHOPIN *(spokojnie)*: A muzyka?

GEORGE SAND: U nas nie ma takich różnic, na przykład, jak pomiędzy panem a pańskim służącym Janem.

CHOPIN: I owszem, są różnice. Na przykład pomiędzy panią a pani służącą... Madeleine.

GEORGE SAND: Chopin!

CHOPIN: Przepraszam cię. Sama wywołałaś to porównanie. A teraz czujesz się tym dotknięta.

GEORGE SAND: To są różnice temperamentu, nie kultury. Całe barbarzyństwo waszego narodu skoncentrowało się w tym służącym.

CHOPIN: Nie podobał się Maurycemu. Nie może go tak wygryźć intrygami, jak starą Françoise i ogrodnika. Teraz będzie

miał spokój. Zabieram Jana ze sobą. Nacierpiał się już dosyć razem ze mną w tym uroczym Nohant.

GEORGE SAND: Zawsze cierpicie. Nowa martyrologia polska.

CHOPIN: Nie jest to przedmiot do żartów.

GEORGE SAND: Tak, tak. Tego my, Francuzi, także nie rozumiemy. Nie uchwycimy tych odcieni i tych niedopowiedzeń. Bo my jesteśmy przecież gruboskórni i nie rozumiemy waszej fantazji. Ja jestem karłem poetyckim i nie mogę pojąć tych waszych genialnych bredni. Chociażby tego samego Mickiewicza, nie mogę pojąć chorobliwej muzy waszego Chopina.

CHOPIN: Nie prosiłem cię nigdy o zrozumienie mojej sztuki. Wiedziałem, że to jest niemożliwe.

GEORGE SAND: Przyznam się rzeczywiście, że w twojej muzyce za dużo dla mnie krwi i melancholii, zgrzytów i szelestów, szkieletów i łańcuchów.

CHOPIN: Mylisz się — to są tylko pasaże, akordy i modulacje...

GEORGE SAND: A ty czyś mnie kiedy zrozumiał? Czyś wypowiedział jedno słowo aprobaty, zainteresowania, przejęcia się moją twórczością...

CHOPIN: Owszem, chwaliłem cię stale.

GEORGE SAND: Takie pochwały.

CHOPIN: Cóż mogę więcej?

GEORGE SAND: Nie rozumiemy się.

CHOPIN: Tak wiele rzeczy nas dzieli. Naprzód przepaść pomiędzy dwoma tragicznie nie rozumiejącymi się narodami. Potem przepaść pomiędzy muzykiem a *(z lekkim przekąsem)* powieściopisarzem. A potem przepaść największa: kobiety i mężczyzny...

GEORGE SAND: *(zrozumiała, że jest to aluzja do jej wieku)*: Byłam dla ciebie jak matka.

CHOPIN: O, to chyba największy twój błąd...

GEORGE SAND: A teraz wolisz Solange.

CHOPIN: Wydaliście Solange za tego grenadiera. To zbrodnia.

GEORGE SAND: Większą zbrodnią byłoby wydać ją za ciebie.

CHOPIN *(bardzo dotknięty, zamykając się)*: Może...

GEORGE SAND: Wodzińskiej już nie chcieli wydać za ciebie, bo byłeś cherlakiem...

CHOPIN: Może...

GEORGE SAND: Pobyt wasz pod jednym dachem mógł się skończyć bardzo smutno. Czy wiesz, do czego by mogło dojść, gdyby ta dziewczyna zakochała się w tobie. Bo przecież ona cię nie kochała?

CHOPIN: Może...

GEORGE SAND: Może, może. Czy zdajesz sobie sprawę, że to okropne — nigdy nie wiadomo, co ty właściwie myślisz. Co naprawdę czujesz? Co ty myślisz? Chopin? Chopin? *(pociąga go silnie za ramię)*: Nic? *(z rozpaczą)* Zamykasz się na wszystkie spusty, nawet przede mną. Wszystko, co myślisz, wszystko, co czujesz, odbywa się gdzieś tak głęboko, że nawet marzyć nie można o dotknięciu twego serca.

CHOPIN: A ty byś chciała nie tylko dotknąć, ale i zranić jak najgłębiej.

GEORGE SAND: Duma twoja przeraża mnie. Pycha. Nie, nie chcę cię zranić, ale chcę wiedzieć, że jestem na coś przydatna. Że mogę twoje serce wziąć w dłonie i namaścić balsamem...

CHOPIN *(śmieje się)*: Cha cha cha cha cha cha!

GEORGE SAND: Gdzież ja mogę być twoją przyjaciółką, Chopin, kiedy ja nic o tobie nie wiem. Gdzie ty jesteś w ogóle, Chopin? Gdzie jest twoje serce? *(płacze)*.

CHOPIN *(obojętnie)*: Nie wiem, czy Antoś poskładał moje nuty? Tu chyba nic nie zostało na tym fortepianie? *(zbliża się do instrumentu i przeszukuje papiery)*: A co! Oczywiście, najważniejsze zostawił. Zawsze trzeba wszystkiego samemu dopilnować.

GEORGE SAND *(uspokaja się)*: No, trudno, skoro już się tak uparłeś, rozstańmy się jak przyjaciele.

CHOPIN *(przy nutach)*: Sonata... pierwsza część... druga... *(do pani Sand)*: Wyobraź sobie, że nie mogę wymyślić tego larga. Brak mi środka... Wiesz?

GEORGE SAND *(zbliża się do fortepianu)*: Cy rzeczywiście nigdy nie czułeś, że moja opieka jest dla ciebie niezbędna? Że dbam o twoje zdrowie? Że może zachowujesz je tylko dzięki mnie? *(bierze cygaro z pudełka i obcina je)*. Czy zawsze byłam dla ciebie tylko cudzoziemką, literatką, jak ty mówisz... powieściopisarką? Czy ja sama, ja, kobieta, byłam ci zawsze obcą?

CHOPIN *(przepatrując nuty)*: Nie, nie. Nie zawsze. *(stoją teraz po dwóch stronach kominka)*.

GEORGE SAND: Fryderyku! Fidybus!

CHOPIN *(machinalnie posłuszny zwyczajowi tylu lat, prośbie czy nakazowi, pochyla się do kominka, zapala fidybus od ognia i potem cygaro pani Sand)*: Proszę!

GEORGE SAND: Dziękuję *(zaciąga się cygarem)*: Pamiętasz wtedy, kiedy przyjechałeś do Perpignan. Gdyśmy się spotkali w drodze na Majorkę. Byłeś wtedy taki wesoły, świeży, odżywiony. Pamiętasz obiad w oberży, wino południowe, które piłeś... Pamiętasz śmiejący się świat południa... Wieczorną muzykę prawie zupełnie hiszpańską... Pamiętasz? Pamiętasz?

CHOPIN: Pamiętam...

GEORGE SAND: Nie myśleliśmy wtedy o słotach i chłodach Majorki. Nie przeczuwaliśmy naszego fiaska. Pamiętasz?

CHOPIN: Pamiętam...

GEORGE SAND: A pamiętasz ten koncert w Paryżu? Pierwszy koncert, na którym grałeś tylko dla mnie? Pamiętasz?

CHOPIN: Pamiętam...

GEORGE SAND: Kochałeś mnie?

CHOPIN: Kochałem.

GEORGE SAND: Pamiętasz?

CHOPIN: George!

GEORGE SAND *(z głębokim wzruszeniem)*: Chopinetto!

JAN *(wchodzi)*: Powóz pana Chopina zajechał.

GEORGE SAND: Jak to powóz pana Chopina? Zabierasz swój powóz? Zabierasz swój delikatny powóz aż do Paryża?

CHOPIN: Zabieram. Przecież z Paryża tu przyszedł.

GEORGE SAND: Wiesz, że nie znoszę innego powozu. Mój jest tak zniszczony, a pocztowy jest nie do użycia. Chyba odeślesz mi go z Paryża.

CHOPIN: Odeślę ci konie z Châteauroux. W Châteauroux są też dobre powozy.

GEORGE SAND: Ale ja jestem tak przyzwyczajona do niego.

CHOPIN: Kupisz sobie nowy za jaką świeżą powieść.

GEORGE SAND: A kufry wszystkie zabierasz?

CHOPIN: Wszystkie...

GEORGE SAND: Nie możesz mi zostawić tego zielonego kuferka na buty?

CHOPIN: Ależ i owszem. Każ Madeleine, aby go odstawiła...

JAN: Ona go jeszcze nie zniosła ze strychu.

GEORGE SAND: Madeleine, Madeleine, proszę mi dać ten zielony kuferek... *(wychodzi)*.

CHOPIN: A czy wszystkie rzeczy spakowane?

JAN: Ani trochę, proszę jaśnie pana...

CHOPIN: No, to cóż po powozie, kiedy nie ma rzeczy?

JAN: Zaraz będą, proszę pana... *(wychodzi)*.

CHOPIN *(znowu podchodzi do fortepianu i coś próbuje)*: To rzeczywiście...

WODZIŃSKI *(wchodzi)*: No, złożyłem ci już wszystko i zapakowałem do teczki.

CHOPIN *(pokazuje mu)*: Tak, ale o najważniejszym zapomniałeś.

WODZIŃSKI: Frycek, nie gniewaj się. Zaraz to schowam. Wiesz, taki jestem szczęśliwy, jak naumyślnie przyszła wiadomość z miasta, że pieniądze na mnie czekają. Odprowadzę was konno, wezmę pieniądze i zaraz będę mógł ci to oddać, com pożyczył.

CHOPIN: Poczciwy chłopak jesteś.

WODZIŃSKI: I list zarazem z domu miałem.

CHOPIN *(z zainteresowaniem)*: No, i co piszą?

WODZIŃSKI *(ostrożnie)*: Nic... jadą pewnie do Warszawy.

CHOPIN: Do Warszawy? Mój Boże...

WODZIŃSKI: Poradzić się lekarza. Marynia chora...

CHOPIN: Marynia będzie w Warszawie?

WODZIŃSKI: Może byś chciał, aby odwiedziła twoją matkę?

CHOPIN: Sam przecież wiesz, że to niemożliwe. Ludzie znowu by zaczęli gadać. Po co to wszystko? To wszystko minęło i już nie powinno odżywać. Minęło... jakbym widział. Ty dawno byłeś w Warszawie?

WODZIŃSKI: Parę lat...

CHOPIN: Ciekawy jestem, czy się tam bardzo zmieniło? Ten dom, gdzie teraz mieszkają rodzice, doskonale sobie wyobrażam. Chociaż tam nigdy nie byłem. Pamiętasz ten dom, tyle razy koło niego przechodziłem... Wiesz, taki niski, koło samej Warreckiej, z kolumienkami... Na pierwszym piętrze kolumienki... Mówiła mi moja Ludwika kochana... To i pani Marynia będzie teraz tam chodziła. Warszawska ulica, fiakry jadą. A Marynia

taka... elegancka... i mama z okna wygląda... ojciec od Loursa wraca... Mój Boże, mój Boże — jaki to mały światek, jaki zabawny a jaki kochany...

WODZIŃSKI: Nie wróciłbyś tam przecież?

CHOPIN: Mogłem wrócić, wróciłbym, no i co? Cóż ja bym tam robił? Lekcje dawał po Elsnerze? Bywał w tamtych salonach. Pożal się Boże...

WODZIŃSKI: No, ale zawsze to swoi...

CHOPIN: Swoi, to prawda. Ale jakże inaczej chciałoby się ich widzieć. Warszawa wielka, wolne miasto... wielkie sale koncertowe, orkiestry lepsze od paryskiej, parki, piękne ogrody, na Woli, gdzie mnie żegnano, budowle, pałace... Teatr, gdzie śpiewała Konstancja, przemieniony...

WODZIŃSKI: W jakimś kącie ogrodu piękny pomnik Chopina...

CHOPIN: A toś mnie rozśmieszył... Cha cha cha cha... *(trochę przez łzy)*: Wyobrażam sobie, jakie czupiradło postawią... z brązu... Chopin z brązu... No, nie?...

WODZIŃSKI: Cóż chcesz, za sto lat, sto pięćdziesiąt — będzie śliczne miasto. Wolne...

CHOPIN: A gdzie tam... ja już w nic nie wierzę *(przygarbia się, zamyśla, siedząc przy kominku)*. Biedny kraj... Biedni oni wszyscy... *(szepce coś do siebie)*.

WODZIŃSKI: Zobacz, czy dobrze ci rzeczy pakują.

CHOPIN: Od samej Maryni nie miałeś listu?

WODZIŃSKI: Owszem, od samej Maryni to właśnie.

CHOPIN: Pokaż.

WODZIŃSKI *(podaje mu list)*: Parę słów tylko...

CHOPIN: Pokaż, pokaż... parę słów tylko... prawda, to jej pismo. Trochę się może zmieniło. Czy Marynia się postarzała?

WODZIŃSKI: Nie wiem, pewnie.

CHOPIN: Ja też miałem listy od niej. Mam je głęboko scho-

wane... *(oddaje list Wodzińskiemu)*: Dziękuję ci. Cieplej mi, gdy jaki list z Polski zobaczę. Bo tutaj zimno. Nie uważasz, jak tu jest zimno? To już ostatni raz w tym Nohant... *(do siebie)*. Moja bieda...

WODZIŃSKI: No, daj mi te nuty. Chodź, zobaczymy, jak służba pakuje, bo znowu będziesz miał różne żale.

CHOPIN: A jakież ja mogę mieć żale... prócz jednego żalu... *(staje w progu swego pokoju)*: Janie, Janie, na miłość boską... *(odwraca się)*: Widzisz, mówiłem ci, cóż to za gałgan. Jedwabne kamizelki razem z sukiennymi pakuje. Na nic wszystko się pokancerują... Wszystkiego trzeba samemu dopilnować... *(wychodzą)*.

GEORGE SAND *(wchodzi z zielonym kuferkiem na buty w ręku)*: Bardzo ładny kuferek... *(woła do jadalni)*: Maurycy... Maurycy... Skończcie już tę waszą kawę... Maurycy...

MAURYCY *(wchodzi)*: No, przyznam się, że dzisiaj ta pularda mi smakowała... à la polonaise.

GEORGE SAND: Patrz, Chopin mi zostawił ten śliczny kuferek, co ci się zawsze tak podobał. Zobacz, zupełnie jak nowy.

MAURYCY: Niech mi go mamusia da.

GEORGE SAND: Jakże, wypędzasz go z domu, a chcesz zabrać jego kuferek. Wstydź się.

MAURYCY: Przecież ten kuferek należy do ciebie.

GEORGE SAND: Chopin mi go tylko zostawił. Trzeba mu będzie potem zwrócić.

MAURYCY: Daj mi go *(odbiera matce kuferek z rąk, zaczyna go oglądać)*: Bardzo mi się przyda na podróż do Paryża.

GEORGE SAND: Wybierasz się do Paryża?

MAURYCY: Myślisz, że wiecznie będę siedział w tej dziurze?

GEORGE SAND: Możesz pracować w Nohant, prześlicznie tu jest. Jesteś zresztą przy mnie. Nie porzucaj mnie teraz, kiedy

Solange wychodzi za mąż. Chopin wyjeżdża, będę się czuła bardzo osamotniona.

MAURYCY: Wie mamusia, że nie bardzo mam ochotę tak długo w tym roku tu siedzieć. Augustyna lada dzień wyjedzie do rodziców, cóż ja tu będę sam robił?

GEORGE SAND: Nie wystarcza ci moje towarzystwo?

MAURYCY: Właśnie chciałem mamusi powiedzieć, że mam już tego Nohant trochę dość. Zwłaszcza tych mamusi znajomych, których zawsze tutaj jest za dużo.

GEORGE SAND: To są moi przyjaciele.

MAURYCY: Czy nie przychodziło ci nigdy na myśl, że może nam obrzydnąć, nam, twoim dzieciom, to towarzystwo?

GEORGE SAND: Nieraz już dawałeś mi do zrozumienia, że nie życzysz sobie widzieć w naszym domu tych ludzi. Jesteś niesprawiedliwy, masz za duże wymagania. Pamiętaj zawsze, że byłam dla was wzorową matką...

MAURYCY: Powtarzasz się. Zawsze mówisz to samo, ilekroć stawiam tę kwestię. Mam tego dość. Rozumiesz. Żądam natychmiast wypłacenia mojej części kapitału i wyjeżdżam do Paryża.

GEORGE SAND: Wypłacenia twojej części kapitału? Ale przecież to się nie robi tak od razu. Nie mam twoich pieniędzy czy tego, co nazywasz „twoją częścią kapitału" na zawołanie.

MAURYCY: Wypłoszyłem tego ptaszka, teraz i ja muszę sobie użyć.

GEORGE SAND: Czy ty rozumiesz, coś ty narobił? Poróżniłeś mnie z człowiekiem niezwykłym, przyjacielem moim od lat siedmiu czy dziewięciu, dla zaspokojenia twoich egoistycznych kaprysów. Wiem, dlaczego go nienawidziłeś. Dlatego że był przeciwny pobytowi Augustyny u nas. I miał rację — twoje postępowanie z Augustyną było niewłaściwe.

MAURYCY: Moje postępowanie? A cóż mamusia lepszego robiła? Mamusia wiedziała najlepiej — lepiej od Chopina, że

Augustyna nie powinna być w naszym domu na stałe. Ale mamusi było z tym wygodniej.

GEORGE SAND: Wygodniej? mnie?... Niedobry człowieku...

MAURYCY: Ile mamusia ma pieniędzy w biurku?

GEORGE SAND: Nic nie dostaniesz, ani grosza... Przecież wiesz doskonale, że chciałam tylko waszego dobra.

MAURYCY *(bierze klucze od biurka)*: Zaraz, który to kluczyk?

GEORGE SAND *(odbiera mu z rąk klucze)*: Ileż razy chciałam, aby Augustyna wyjechała. Ile razy prosiłam ciebie o to. Nie chciałeś mnie słuchać. Wszystko zawsze poświęcałeś dla swojego egoizmu i wszystko wyłudzałeś dla siebie... *(Maurycy chce jej odebrać klucze)*: Nie dam ci pieniędzy.

MAURYCY: Jeżeli nie da mi mama pieniędzy, to natychmiast wyjeżdżam do Paryża i wstępuję do wojska.

GEORGE SAND: Nie wyjedziesz. Nie masz za co.

MAURYCY: Wodziński dostał dzisiaj przekaz.

GEORGE SAND: Nie pożyczysz od niego. To byłoby niegodne.

MAURYCY: Jak mamusia chce, ale ja wyjeżdżam razem z Chopinem.

GEORGE SAND: Ile ci potrzeba?

MAURYCY: Muszę oddać Solange trzy tysiące, które od niej wziąłem... i jeszcze... i jeszcze... no, ile tam mamusia ma...

GEORGE SAND *(otwiera biurko)*: Nie ma tak dużo...

MAURYCY *(przechyla się nad nią)*: Ajajaj... Aż tyle... to wystarczy... *(bierze paczkę pieniędzy z biurka i chce wyjść)*.

GEORGE SAND: Ależ zostawiasz mnie bez grosza. Zmiłuj się, Maurycy, ja mam dom.

MAURYCY: Solange może lada dzień potrzebować większej sumy.

GEORGE SAND: Dlaczego?

MAURYCY: Przypuszczam, że po tym, co zaszło, nie będziesz ich trzymała w Nohant.

GEORGE SAND: Po tym, co zaszło?

MAURYCY: Nic nie wiesz?

GEORGE SAND: Co jeszcze?

MAURYCY: O Solange i Clésingerze? Nie wiesz?

GEORGE SAND: No, zaręczyli się. To wszyscy wiedzą.

MAURYCY: Ładne zaręczyny. Masz dziwnie burżuazyjny sposób określania tych rzeczy.

GEORGE SAND: Kłamiesz.

MAURYCY: Niech się mamusia zapyta Solange. Albo nawet służby. Wszyscy wiedzą, że Solange nie sypia już w swoim pokoju.

GEORGE SAND: Kłamiesz.

MAURYCY: Cóż za dramatyczne sceny. Zazdrosna mamusia czy co? *(śmieje się cynicznie)*: No, a teraz nie wypędzi mama ich z domu? Solange twierdzi, że Nohant jest jej i jej narzeczonego.

GEORGE SAND: Wszystko dla was poświęciłam, wszystko... a wy mnie jeszcze ograbić chcecie.

MAURYCY: Wszystko... a co? Co mamusia poświęciła? Nie lubię takich frazesów. Tych parę banknotów.

GEORGE SAND: Solange! Solange!

MAURYCY: No, zaczyna się teraz... *(wychodzi śpiesznie)*.

CLESINGER *(wchodzi szybko)*: Solange wyszła na chwilę. Czy pani chciała...

GEORGE SAND: Clésinger, przyznaj się?

CLESINGER: Do czego?

GEORGE SAND: Coś zrobił z Solange?

CLESINGER: Jak to co?...

GEORGE SAND *(w pasji)*: Coś zrobił z Solange? Ledwieś

się zaręczył z tym dzieckiem... i już... Jakeś śmiał. Niedawno jeszcze byłeś moim kochankiem.

CLESINGER: A dzisiaj już jestem pani zięciem. Dziwny jest ten świat, prawda? A cóż, miałem czekać, aż pani barońska mość rozmyśli się i pokaże mi figę jak Fernandowi? Teraz nie ma gadania — ślub musi być zaraz, bo inaczej będzie skandal.

GEORGE SAND: Łotrze...

CLESINGER: Jeszcze tej zimy w Paryżu inne słyszałem od pani słówka.

GEORGE SAND: Precz... Precz w tej chwili z mojego domu...

SOLANGE *(wchodzi zdyszana)*: Mamusia mnie wołała?

GEORGE SAND: Zabieraj się w tej chwili z mojego domu. Clésinger, zabieraj w tej chwili swoją zdobycz. Solange, nie możesz pozostać w Nohant choć przez jedną chwilę.

CLESINGER: Nie wiedziałem, że panią będzie to tak gorszyło.

GEORGE SAND: Boże, dzieci, jakie ja mam dzieci...

CLESINGER: Ależ wyjedziemy... tylko chciałem zapytać, jak to będzie z kontraktem ślubnym?...

GEORGE SAND: Ułożycie kontrakt z ojcem Solange *(wychodzi z płaczem)*: Boże, cóż to za ludzie...

SOLANGE *(rzeczowo)*: Idź teraz na górę i spakuj się, ja wiele rzeczy z sobą nie zabiorę. Trzeba, żeby nas Chopin zabrał z sobą. Razem dojedziemy do poczty, a tam już damy sobie radę...

CLESINGER: Zaraz schodzę, poczekaj chwilę... *(wychodzi)*.

SOLANGE *(zostawszy sama, czeka chwilkę, aby się uspokoić, potem puka do drzwi Chopina)*: Chopin...

CHOPIN *(wychodzi)*: Nie wchodź do mnie, bo tu taki nieporządek... zaraz, zaraz.

SOLANGE: Chopin, musisz nas zabrać z sobą, mnie i Clésingera. Dojedziemy z tobą do Châteauroux.

CHOPIN: Co się stało?

SOLANGE: Matka wypędza nas z domu. Nie chce widzieć ani mnie, ani mojego narzeczonego.

CHOPIN: Czy to znowu jakaś intryga Maurycego?

SOLANGE: Przypuszczam, że tak, nie mam pojęcia właściwie, jak to sobie wytłumaczyć. Bo przecież nie może jej gorszyć to... że... ja i Clésinger...

CHOPIN *(z boleścią)*: Solange.

SOLANGE: Cóż ciebie to może obchodzić?

CHOPIN: Znam cię od dziecka. Przykro mi.

SOLANGE: Skoro zgodziłeś się tak łatwo, żebym została jego żoną.

CHOPIN: Nikt z was o zdanie mnie nie pytał.

SOLANGE: A gdyby nawet zapytał. Cóż byś odpowiedział?

CHOPIN *(cofa się obojętnie)*: No, nic.

SOLANGE: Przecież nie powiedziałbyś mamusi, że mnie kochasz i nie dasz mi wyjść za mąż za Clésingera.

CHOPIN *(z przymusem)*: Ależ, skąd znowu.

SOLANGE *(z płaczem)*: A widzisz, a widzisz, a potem się dziwisz.

CHOPIN: Ach, ja już się niczemu w tym domu nie dziwię.

SOLANGE *(po pauzie)*: Już nigdy nie wrócisz do Nohant?

CHOPIN: Pewnie nie *(podchodzi do fortepianu i znowu coś próbuje. Bierze parę taktów preludium C-dur z „Wohltemperiertes Clavier" Bacha, potem je przerabia, odchodzi niezadowolony)*. Wszystko mi nie idzie.

SOLANGE: Co to było?

CHOPIN: Wlazła mi taka myśl do głowy. Nie mogę jej sprecyzować. To bardzo męczące.

SOLANGE: Do widzenia, Chopin.

CHOPIN: Do widzenia, Solange. Jestem bardzo wzruszony.

SOLANGE: Chopin, kochany Chopin... Po co ja to wszystko zrobiłam? *(rzuca mu się na szyję, ukrywa twarz na jego ramieniu i płacze)*.

CHOPIN: Uspokój się, Solange. Nie wszystko na świecie może być tak, jak nam się podoba. Będziesz mieszkała w Paryżu. Będziesz miała dzieci, męża. Będziesz szczęśliwa.

SOLANGE: Szczęśliwa... *(odsuwa się od niego)*: Mnie się wydaje, że byłam szczęśliwa tylko tutaj w Nohant. Ilekroć przyjeżdżałeś... Pomyśl sobie, ile lat tutaj spędzałeś. Zawsze tak czekano tutaj na ciebie... przenosiny fortepianu.

CHOPIN *(nie zwraca uwagi na to, co mówi Solange, przebiera palcami po deklu fortepianu pod obsesją jakiejś jednej myśli)*: Tak, tak...

SOLANGE: Kiedy tu była twoja siostra, taki byłeś wesoły.

CHOPIN: Tak...

SOLANGE: Było tak dobrze tutaj. Mamusia pisała, ty grałeś... Mówiliście o Warszawie...

CHOPIN: O Warszawie? Tak, tak, o Warszawie....

SOLANGE: Pozdrów ode mnie Ludwikę. Bardzo bym ją kochała.

CHOPIN: Dobrze... zaraz, zaraz, ja to muszę zapisać *(porywa kawałek papieru z biurka pani Sand i wychodzi z nim do swojego pokoju)*.

SOLANGE: O, jaka ja głupia *(zanosi się od śmiechu)*: O, jaka ja głupia *(płacze)*.

FERNAND *(wchodzi cichaczem od ogrodu)*: Pani płacze, panno Solange?

SOLANGE: Skąd się pan tu wziął?

FERNAND: Ja nie wychodzę prawie z parku.

SOLANGE: Śledzi mnie pan.

FERNAND: Pani wyjeżdża, panno Solange?

SOLANGE: Skąd pan to wie?

FERNAND: Ja wszystko wiem, co się u was dzieje.

SOLANGE: Wszystko.

FERNAND: Pani wyjeżdża... Pani jest szczęśliwa? Pani płacze?

SOLANGE: Tak, jestem bardzo szczęśliwa. Płaczę ze szczęścia.

FERNAND: Na Boga, panno Solange, niech pani nie płacze. Niech się pani zastanowi nad tym, co pani robi. Niech się pani rozmyśli, niech się pani rozmyśli. Niech pani nie gubi siebie, mnie... i wszystkich. Jedno słowo i nie ma już nikogo prócz mnie, ani Clésingera, ani Chopina, bo ja wiem, panno Solange... o Chopinie. Kochające serce wszystko odczuje, wszystko wybaczy.

SOLANGE: Co pan ma mi do wybaczenia? Cóż to za romantyczne pretensje? Gdyby nawet chciał pan coś odrobić, już jest za późno. Ale tu nie ma nic do odrobienia *(z dumą)*. Ma mnie pan za jakąś lalkę, idiotkę, która nie wie, co czyni. To, co robiłam, robiłam z rozmysłem. Do widzenia panu, panie Fernand *(odchodzi)*.

*) FERNAND: Patrzcie, patrzcie... ale jaka śliczna.

MADELEINE *(podsłuchiwała)*: Nie dość panu, że się pan po parku cały dzień włóczy, jeszcze pan tutaj przyszedł.

FERNAND: Cicho, cicho, Madeleine. Nie przyszłaś wczoraj do lasu, jak obiecałaś.

MADELEINE: Urwanie głowy tutaj. Pan nie ma pojęcia, jaki to dom.

FERNAND: Ale dziś przyjdziesz.

MADELEINE: Niech mnie pan stąd zabierze.

FERNAND: Gdzie ja ciebie zabiorę?

* Scena ta do następnej gwiazdki była opuszczana we wszystkich dotychczasowych przedstawieniach „Lata w Nohant".

MADELEINE: Wszystko jedno gdzie... do Châteauroux... Paryża.

FERNAND: Głupia jesteś. Paryżá ci się zachciewa.

MADELEINE: Ej, bo pan będzie żałować.

FERNAND: Czego będę żałować?

MADELEINE: Co pan nagadał tutaj tej małej?

FERNAND: A co ciebie to obchodzi?

MADELEINE: Żal mi kobity. Mnie pan także tak gadał, tylko że ona nie dała się nabrać.

FERNAND: Milcz. Nie porównywaj siebie do panny Solange.

MADELEINE: Oho... taka niby święta. Mówiłam już panu, że chodzi do tego... rzeźbiarza...

FERNAND: A Chopin dlaczego wyjeżdża?

MADELEINE: Czy ja wiem? Kłócą się tutaj cały dzień.

FERNAND: Teraz, kiedy on wyjeżdża, to znowu wrócisz do domu.

MADELEINE: Kto wie? A może jeszcze tu zostanę.

FERNAND: Dlaczego, po co?... *(chce ją pocałować)*.

MEDELEINE: Ach, Boże, jaki pan jest... pssst, ktoś idzie *(wypycha Fernanda za drzwi)*.

MAURYCY *(szybko wchodzi)*: Kto tu był?

MADELEINE: Nikogo tu nie było... wydało się coś panu.

MAURYCY: Ty coś knujesz.

MADELEINE: Ja? Ja? Ale... wybieram się do domu. Pan Chopin wyjeżdża.

MAURYCY: Zostań.

MADELEINE: Pani baronowa nie chce mnie zatrzymać.

MAURYCY: Powiem słowo i zechce. Zostań.

MADELEINE: Przecież miał pan jechać do Paryża.

MAURYCY *(prosząc)*: Zostań, Madeleine. Jeżeli zostaniesz — nie pojadę do Paryża.

MADELEINE: Lepiej, żeby mnie pan zabrał do Paryża.

MAURYCY: Może potem... Ale teraz zostań.

MADELEINE: Jak mnie pan bardzo poprosi.

MAURYCY *(wciska jej banknot do ręki)*: Masz...

MADELEINE *(śmieje się)*: Dała już mamusia...

(Augustyna wchodzi z ogrodu, Madeleine udaje, że ściera kurze na fortepianie, Augustyna przygląda się jej podejrzliwie. Maurycy usiadł przy kominku i udaje, że czyta, gwiżdżąc z lekka. Po chwili milczenia Madeleine wychodzi, Maurycy także zmierza do ogrodu).

AUGUSTYNA: Uciekasz ode mnie, Maurycy?

MAURYCY: Taki rwetes w domu.

AUGUSTYNA: Rzeczywiście, co tu się dzieje. Ale czy nie chciałbyś jednak pomówić ze mną choć przez chwilę?

MAURYCY: Jeżeli chcesz koniecznie. Ale wolałbym po odjeździe Chopina i Solange.

AUGUSTYNA: To nie będzie trwało długo. Chciałabym tylko powiedzieć, że ja także wyjeżdżam.

MAURYCY: Dokąd?

AUGUSTYNA: Do rodziców.

MAURYCY: Do rodziców? Dlaczego tak nagle? Jeżeli chcesz ich widzieć... *(nieszczerze)* moglibyśmy ich odwiedzić razem.

AUGUSTYNA: Nie mówisz tego, co myślisz, Maurycy.

MAURYCY: A co ja myślę?

AUGUSTYNA: Myślisz: nareszcie odjeżdża!

MAURYCY: No, tak zaraz dramatycznie.

AUGUSTYNA: Skrzywdziliście mnie, Maurycy.

MAURYCY: Kto, my?

AUGUSTYNA: Ty i twoja matka.

MAURYCY: Przesadzasz.

AUGUSTYNA: Wiesz dobrze, że nie przesadzam. Kochałam ciebie i kocham jeszcze dziś, pomimo wszystko. Pomimo całego twojego wstrętnego charakteru. I matka twoja wiedziała, że cię kocham. A teraz, kiedy jej powiem, że wyjeżdżam, będzie spokojna i szczęśliwa. Ona nie zdaje sobie sprawy z tego co to jest człowiek i jego uczucia. Ona żyje jak drzewo, jak kwiat, jak żmija. Jesteście oboje złymi ludźmi, Maurycy.

MAURYCY: Wara ci od mojej matki. Nie wolno ci jej sądzić. To jest kobieta innego gatunku niż my wszyscy. O mnie gadaj, co chcesz. Wszystkie jesteście żmije, ale mojej matki nie waż się tykać. Rozumiesz? *(wychodzi)*.

AUGUSTYNA: Patrzcie państwo, jaki rycerz. Podobasz mi się z tym ogniem!

ROUSSEAU *(ubrany jak do drogi)*: Panno Augustyno, panno Augustyno. Oni już wszyscy wyjeżdżają. Niech mi pani pozwoli jechać także z Chopinem.

AUGUSTYNA: Jedziemy razem.

ROUSSEAU: Panno Augustyno!

AUGUSTYNA: Niech mi pan przyniesie płaszcz i kapelusz.

(Wodziński i Rozjerka wprowadzają panią Sand pod rękę).

ROZJERKA: Widzisz, George, my jesteśmy prawdziwi przyjaciele, my nie opuszczamy ciebie w nieszczęściu, w takich okolicznościach.

WODZIŃSKI: Mimo że ja dostałem pieniądze.

GEORGE SAND: Dostał pan pieniądze? Nie, to pan nie wytrzyma długo.

ROZJERKA: Wyfrunie jak ptaszek.

GEORGE SAND: Zazdrościsz mu. Wszyscy uciekają z Nohant, jak z zapowietrzonego miejsca. Ty spędzisz resztę lata w Nohant?

ROZJERKA: Posiedzę parę tygodni, a potem może pojedziemy dokądś... Antosiu?

WODZIŃSKI: Wszędzie, dokąd każesz...

ROZJERKA *(z pewnym żalem)*: Byle nie do ołtarza.. *(Maurycy wchodzi bardzo zadowolony, pogwizdując)*: No, Maurycy, a jakże twoja decyzja? Wyjeżdżasz?

MAURYCY: Nie, zostaję. Na długo.

GEORGE SAND *(całuje go w czoło)*: Dziękuję ci. Wiedziałam, że to zrobisz dla swojej starej matki.

MAURYCY *(całuje ją w rękę)*: Ależ, mamusiu!

JAN *(wchodzi i idzie do pokoju Chopina)*: Proszę pana, rzeczy już przywiązane.

CHOPIN *(wchodzi)*: Już? Wszystko? Jak?

JAN: Wszystko, jak pan sobie życzył.

CHOPIN: Tak prędko? No, to trzeba jechać... Gdzie Solange?

SOLANGE *(wchodzi z narzeczonym — ubrani jak do drogi)*: Jestem, jestem! Do widzenia, mamusiu.

ROUSSEAU *(który przez ten czas znosił rzeczy Augustyny i ubierał ją do drogi)*: No już...

GEORGE SAND *(spostrzega Augustynę ubraną)*: Augustyno, co to znaczy? Ty dokąd?

AUGUSTYNA: Zabiorę się z Chopinem... I pan Rousseau. Chciałam odwiedzić rodziców. Powinnam była dawno to uczynić, ale byłam za słaba...

GEORGE SAND: O, moje dziecko...

CHOPIN *(do Wodzińskiego)*: Jakoś coraz ciaśniej w tym moim powozie... *(ubiera się w pudermantel podany przez Jana, bierze kapelusz)*.

WODZIŃSKI: Bo to widzisz... za darmo...

SOLANGE *(żegnając się z matką)*: Teraz powinnaś być zadowolona. Zostaniesz w Nohant sama z Maurycym... jak prawdziwi kochankowie...

WODZIŃSKI: Odprowadzam was konno do Châteauroux...

ROZJERKA: Boże, on odbierze pieniądze i zostanie w klubie.

WODZIŃSKI: Nie, nie, nie... Do widzenia, do widzenia...

WSZYSCY: Do widzenia...

CHOPIN *(do George Sand)*: Do widzenia...

GEORGE SAND *(odpina bukiet fiołków letnich, jaki miała przypięty u sukni i daje go Chopinowi)*: Do widzenia...

(Ogólne pożegnanie, wszyscy wychodzą, przez chwilę scena pusta, ściemnia się, odgłosy pożegnania na ganku. Długa pauza).

CHOPIN *(wchodzi po chwili w kapeluszu i pudermantlu ciągnąc za rękę Wodzińskiego)*: Wyobraź sobie, moje złotko, mam moją ideę. Złapałem. Stawiając nogę na stopniu powozu, złapałem! Wiesz, tak zupełnie jak u Bacha, rozłożone akordy... tylko trochę inne w E-durku. Rozumiesz? *(rzuca kapelusz i siada do fortepianu)*: I widzisz — u Bacha jest tak *(pokazuje początek preludium C-dur, potem transponuje je do E-dur)*: A u mnie będzie tak... *(szkicuje pierwsze takty środkowej części largo z sonaty h-moll)*: Mniej więcej tak... *(zaczyna grać środkową część larga od taktu 29 aż do końca)*.

(W miarę jak gra w ściemnionym pokoju, powoli wracają wszyscy na scenę. Pani Sand cichutko przynosi zapaloną świecę i stawia ją na fortepianie — potem usuwa się w głąb i słucha, stojąc w drzwiach, oparta głową o futrynę. Wodziński przy Chopinie, obok niego Rozjerka. Dalej Augustyna i Maurycy. Rousseau zakrywa oczy ręką. Solange na kanapie trzyma za rękę Clésingera i płacze cichutko. Madeleine przystanęła w drzwiach ogrodu i nasłuchuje zdziwiona. W pewnej chwili wchodzi Jan).

JAN: Proszę pana...

GEORGE SAND: Pssst. *(macha na niego ręką, Jan kamienieje).*

CHOPIN *(nie zwraca na to uwagi, gra nie przerywając z zamkniętymi oczami).*

KURTYNA POWOLI SPADA

BIBLIOTEKA INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA-NARODOWY
Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.

BIBLIOTEKA TIFC
D/3/42
941

CZYTELNIK

F 941
Narodowy
Instytut
Fryderyka
Chopina



FRYDERYK CHOPIN
(rys. George Sand)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LATO W NOHANT

KOMEDIA W 3 AKTACH

1 9 4 9
«CZYTELNI
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNIC